# POLSKA WALCZĄCA

## ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

**Wychodzi co tydzień** | ***Dnia 19-go maja 1945r.*** | **Rok VII. Nr. 20**

# WALKA O POLSKĘ TRWA

Skończyła się wojna z Niemcami. Walka o Polskę trwa.

Mieliśmy prawo oczekiwać, że koniec wojny z Niemcamł będzie kresem walki o Polskę, o jej całość, wolność i niepodległość. Bo od Polski ta wojna się zaczęła, Polska wytrwała w niej najdłużej i bez przerwy od pierwszego dnia do ostatniego, Polska na rzecz tej wojny poniosła najwyższe ofiary. Mieliśmy prawo oczekiwać za to wszystko innej zapłaty.

Ale już od dłuższego czasu dla każdego z nas stawało się coraz bardziej jasne, że los naszego narodu rozstrzygnie się poza granicą długiej i krwawej rozgrywki z Niemcami. Od dłuższego już czasu uświadamialiśmy sobie coraz wyraźniej, że położenie naszego kraju, że sprawy stojące u początku tej wojny /układ rosyjsko-niemiecki/, że jej bieg od chwili ataku Niemiec na Rosję i niedobrowolnego wejścia Rosji do koalicji Narodów Zjednoczonych, że te i inne przyczyny spychają sprawę Polski niejako na koniec porządku dziennego rozprawy, która zaczęła się dnia 1 września, a przygotowywała się znacznie wcześniej.

Długo wierzyliśmy, później chcieliśmy wierzyć wbrew wszystkiemu, że uda się przemienić nie od nas zależny bieg rzeczy. Wydarzenia, które bezpośrednio wyprzedziły koniec działań wojennych w Europie pozbawiły złudzeń nawet najbardziej uparcie wierzących w dobre zamiary Rosji Sowieckiej wobec Polski. Podstępne uwięzienie i aresztowanie 16 działaczy polskich, próba ukrycia ich losu przed opinią cywilizowaną i jeszcze bardziej haniebna próba wmówienia w świat ich rzekomych przestępstw — stanowią dowód, że Rosja dąży nie do ułożenia stosunków ze swoim najbliższym sąsiadem, ale do samowolnego ich narzucenia po swojej myśli i według swoich wzorców. Nie można już wątpić, że "niepodległa i demokratyczna" Polska, "silna i wielka" oznacza którąś z kolei "republikę" Związku Sowieckiego, prowincję nowego imperium, prawego dziedzica imperium carów rosyjskich.

Ten stan rzeczy niezupełnie nieoczekiwany, ale przez to nie mniej tragiczny — stawia przed żołnierzem polskim nowe nakazy, nowe zadania. Trzeba powiedzieć, że są one może trudniejsze od wszystkiego, czemu żołnierz polski dotąd sprostał, co przetrzymał, czemu stawił czoło z taką siłą odporu, z takim samozaparciem sie, z takim męstwem.

Musimy być przede wszystkim świadomi jednej zasadniczej swojej roli — roli przedstawicielstwa narodu, któremu po raz drugi siłą, przemoą odebrano prawo głosu. To zdanie w niedawno ogłoszonym liście z Polski: "liczymy przede wszystkim na was — ludzi wolnych" jest straszliwie zobowiązujące, składa na nasze barki olbrzymią odpowiedzialność. Mówi ono, że Kraj oczekuje od nas całego najwyższego wysiłku w głoszeniu jego prawdziwej woli i jego prawdziwych pragnień, w rozszerzaniu prawdy o tym, co się w Polsce dzieje, w walce o jego prawa do wolności i do stanowienia o sobie bez nacisku obcych bagnetów i bez działających w ich cieniu obcych, najemnych agentów.

Te zadania ciążyły na żołnierzu już przedtem, ale nigdy nie były one tak pilne, tak wielkie. Nowa okupacja dąży do jak najściślejszego odosobnienia Polski, nie dopuszcza na teren zbrojnie trzymanych i bezwzględnie, brutalnie rządzonych ziem Polski — nie tylko prawowitych władz polskich, ale dziennikarzy obcych, obserwatorów, nawet przedstawicieli instytucji dobroczynnych. Musimy się domagać, aby to co się robi w Polsce, działo się przy świetle dnia i w obecności świadków, aby wiadomości o tym docierały do wolnej opinii tego kraju i całego świata. Musimy się domagać, aby polscy działacze, którzy przez pięć lat kierowali podziemną walką z hitleryzmem odzyskali wolność, a ze swej działalności mogli zdać sprawę przed jedynym właściwym sądem: opinią wolnych narodów, aby wszyscy ludzie wolni wiedzieli, że walka o wolność dla dzisiejszych władców Polski jest zbrodnią nawet wtedy, gdy ją się prowadzi przeciw wspólnemu wrogowi razem ze "sprzymierzeńcem naszych sprzymierzeńców".

W tym zakresie szerzenia prawdy o Polsce każdy najmniejszy udział, każde najmniejsze działanie ma swoją wagę w ogólnej sumie wiedzy, której trzeba, aby świat przejrzał i pojął sprawy według ich właściwej miary. "Brytyjsko-Polski Klub Korespondencyjny" stworzony zamysłem i trudem tylko jednego z nas, może stanowić przykład i wzór tego, do czego wszyscy jesteśmy powołani, czego może dokonać świadomy, powszechny wysiłek.

Jesteśmy w okresie niesłychanie ważnym w okresie przejściowym między wojną i pokojem. W tym okresie dopiero w pełni natęży się walka, walka polityczna, walka woli, świadomości, sumienia o przyszły wygląd świata, o nowy bieg życia. W tej walce sprawa Polski będzie tylko jedną z wielu, choć najbardziej palącą, najbardziej jaskrawą. W tej walce sprawa Polski łączy się ze sprawą narodów Europy wschodniej i środkowej, ze sprawą wszystkich narodów kontynentu europejskiego.

Są tu tylko dwie możliwości; wygrania albo przegrania pokoju. Wygrany będzie taki pokój, który nie zaprzeczy sensowi dopiero co zakończonej wojny, który nie odda Europy spod samowładztwa hitlerowskiego pod inne samowładztwo. Przegrany będzie taki pokój, który zmieni tylko warty w obozach koncentracyjnych, jedno nadużycie słowa przez inne, jedno kłamstwo przez drugie, równie wyzywające, równie urągające sprawiedliwości. Przegrany pokój jest klęską podwójną, bo przekreśla koszt jednej wojny, nieuchronnie prowadzi do drugiej.

Byliśmy żołnierzami wojny, która zaczęła się o wolność Polski i toczyła się o wolność Europy. Jesteśmy i zostaniemy żołnierzami pokoju zapewniającego po pięciu latach niewoli wolność Europie i wolność Polsce. Nie damy się rozbroić z tej świadomości, z tej woli i z tego dążenia. Będziemy je reprezentować odważnie i uczciwie, uparcie, ciągle, wszędzie.

Musimy być świadomi, że utrzymanie cnoty żołnierskiej jest trudniejsze w pokoju, niż w wojnie. Musimy być świadomi, że na obcej, choć gościnnej ziemi, zbierającej zasłużony plon zwycięstwa i przez to tyle od nas szczęśliwszej — będziemy pilnie obserwowani. Musimy w pokoju zachować największą dyscyplinę, powagę, godność, jakiej wymaga wojna. Bo jesteśmy ciągle i będziemy długo jeszcze żołnierzami w walce o sprawiedliwość dla naszego kraju, o pokój i wolność, jednakie dla wszystkich.

Już stają przed nami zadania udziału w wojskowej okupacji pobitych Niemiec. Będziemy je musieli wykonać w sposób, który narzuci szacunek wrogom, który przyjaciół umocni w przekonaniu, że jesteśmy dobrymi towarzyszami broni zawsze i wszędzie.

Zwolnienie olbrzymich mas Polaków z niemieckich obozów jenieckich, z obozów koncentracyjnych, z miejsc zesłania na pracę niewolniczą — składa na nas obowiązek pomocy i opieki nad tą częścią narodu polskiego, którą los pozwolił nam odzyskać. Póki nie będzie nam dane powrócić do swoich i na swoje oni, Polacy uwolnieni z Niemiec, są całą naszą ojczyzną, naszą rodziną, dobrem wspólnym w zasięgu naszej broni, serca i miłości czynnej. Wszędzie gdzie się z nimi spotykamy, na ziemi, na której oni byli niewolnikami a my przychodzimy jako zwycięscy żołnierze — muszą oni czuć naszą troskliwość, nie może im braknąć niczego: ani opieki i troski, ani ubrań, ani lekarstw, ani książek, ani pism, ani listów od nas. To jest także odcinek frontu walki o Polskę.

Nie jeden raz przepełnieni goryczą, osamotnieni zwłaszcza w tych dniach radosnego święcenia pokoju — pamiętajmy, że nawet na tym szlaku tułaczym nie jesteśmy sami. Stoją za nami tu na obczyźnie dwa wielkie skupienia polskie, dwie wielkie siły: pięciomilionowa Polonia Amerykańska i półmilionowa Polonia w Zachodniej Europie, głównie we Francji. Od początku wojny składały one dowody najgorętszego patriotyzmu i nieocenione świadczenie na rzecz nas wszystkich: na rzecz odradzających się sił zbrojnych, na rzecz Polaków w Rosji, na rzecz jeńców. Teraz rola wychodźstwa polskiego w Ameryce i Europie wzrosła jeszcze bardziej. Wzięły one na siebie trud obrony sprawy polskiej, podniosły wymowny głos domagający się sprawiedliwości dla ich macierzystego kraju.

Jest naszym zadaniem utrzymanie najżywszej spójni z Polonią po tej i po tamtej stronie Oceanu, umacnianie jej w walce o prawa naszego narodu. Polonia winna czuć, że stoimy za nią, że jesteśmy także jej żołnierzami. Winna ona wiedzieć, że jest dla nas częścią ojczyzny, do której nie wolno nam wrócić, tym droższą, że odnalezioną w najcięższej godzinie i w najcięższej próbie.

I jeszcze jedno ostatnie nasze zadanie na tę chwilę między wojną i pokojem, na ten czas, w którym się będą ważyć sprawy naszego kraju. Z szeregów żołnierskich, które stoją wciąż ściśle zemknięte i gotowe na wszystko, musi iść nakaz, wołanie o zgodę wśród wszystkich Polaków, których los obdarzył łaską swobody i łaską walki o Polskę. Nie przestaniemy nawoływać, domagać się, żądać, aby ustały stare spory i nowe poróżnienia o rzeczy błahej wagi, nie przestaniemy zaklinać w imię krwi przelanej, w imię trwającego i pomnażającego się w każdej chwili cierpienia polskiego — aby wszyscy uczciwi Polacy zemknęli swoje szeregi na podobieństwo naszych żołnierskich szeregów, aby stanęli do walki o istnienie wolnej Polski w Europie wolnej i zdolnej do życia według swojej woli i pragnienia.

Podajemy hasło, wymieniamy je między sobą, zamykamy je na dnie naszych serc, wypisujemy na czele wszystkich naszych działań:

Walka o Polskę trwa. I będzie trwała, będzie trwała, póki nie wybije i dla niej godzina sprawiedliwości.

*ALEKSANDER JANOWSKI*

# *NACZELNY WÓDZ WŚRÓD NAS*



fot. Stanisław Rochowicz

Gen. dyw. Tadeusz Bór-Komorowski /trzeci od lewej/ po przybyciu do W. Brytanii. Pierwszy na lewo: premier Rządu R.P. Tomasz Arciszewski, pierwszy na prawo minister Obrony Narodowej gen. dyw. Marian Kukiel

*Przyjazd do Londynu Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych gen. dywizji Tadeusza Bora-Komorowskiego, sławnego dowódcy Armii Krajowej odświeża w naszej pamięci jeden z najbardziej bohaterskich epizodów tej wojny — Bitwę Warszawską z roku 1944.*

*Już wtedy, gdy w Warszawie huczały jeszcze strzały walki "aż do kresu wytrzymałości" wiedzieliśmy, że naród nasz przeżywa chwile, których chwałą żyć będą przyszłe pokolenia. Po świeżych doświadczeniach wojennych zdajemy sobie tym dokładniej sprawę z ogromu ponad ludzkiej woli i ponadludzkiej mocy wytrwania, która pozwoliła samotnej Stolicy stawić czoła przez dwa miesiące przytłaczającej przewadze technicznej brutalnego wroga.*

*Berlin, przygotowywany oddawna do obrony, z załogą, złożoną z doborowych fanatycznych oddziałów, wyposażonych w najlepszą broń — bił się dni jedenaście czy dwanaście. Warszawa pozbawiona zupełnie broni ciężkiej i zaopatrzona niedostatecznie nawet w broń ręczną, Warszawa, której obrona z konieczności musiała być improwizowana w ogniu samego boju — potrafiła walczyć przez dni sześćdziesiąt trzy. Cóż może być wymowniejszego nad to zestawienie?*

*Bitwa warszawska 1944, ta jedna z najsławniejszych i najtragiczniejszych zarazem kart naszej historii przeszła do legendy. Wymiarów legendy nabrała też postać, której imię wojenne związane jest na wieki ze sławą naszej stolicy — postać gen. Bora-Komorowskiego.*

*Mimo całej wielkości Bitwy Warszawskiej było by rzeczą niesłuszną, aby jej blask tragiczny przysłonił przed naszymi oczyma resztę epopei Armii Krajowej i resztę czynów gen. Bora. Wśród nich są wydarzenia, które nie oddziaływają tak silnie na wyobraźnię i dlatego być może nie są należycie doceniane. Do rzędu ich należy niestrudzona, pełna cierpliwości i taktu praca nad zjednoczeniem narodu.*

*Jeśli dziś dwie literki A.K. stały się znakim wysiłku całego narodu polskiego w walce o niepodległość, jeśli słowo Kraj ma dla ucha polskiego dźwięk mocny i zawsze jednakowy — to w dużej mierze jest to zasługą obecnego Wodza Naczelnego. Dzięki jego osobistym walorom i autorytetowi, płynącemu z głębokiej jednającej pełne zaufanie prawości — współpraca wszystkich czynników Polskiego Państwa Podziemnego: cywilnego, politycznego i wojskowego, stała się źródłem jedności całego społeczeństwa.*

*Dziś jedność owa nabiera nowego wyrazu. Przyjazd gen. Bora staje się wyrazem rzeczywistej jedności Polskich Sił Zbrojnych. Nie ma żadnego rozdziału pomiędzy Armią Krajową i Armią na obczyźnie. Jest jedna siła zbrojna, której część walczyła w normalnych warunkach żołnierskich, gdy druga toczyła walkę tę samą i o to samo z podziemi konspiracji. I jedne są też cierpienia, radości i dążenia żołnierza polskiego, gdziekolwiek bądź rzuciły go losy; pod Wilno, czy pod Monte Cassino, pod Lwów, czy pod Falaise, pod Lubartów, czy pod Arnhem.*

*Gen. Bór należy do tego typu wojskowych zawodowych, którym obce są wszelkie ambicje polityczne. Szczególne stanowisko dowódcy Armii Krajowej, będącej organizacją o najszerszym składzie społecznym, zmuszało go jednak niejednokrotnie do zabierania głosu w tych sprawach. Czynił to zawsze z ogromnym poczuciem odpowiedzialności i umiarem. Dzięki temu inicjatywy jego nie tylko nie wywoływały sprzeciwu, ale spotykały się zawsze z jak najlepszym przyjęciem. Jedną z nich były stale ponawiane żądania ogłoszenia planu reform społecznych w przyszłej Polsce. Jemu w znacznym stopniu zawdzięczają swe powstanie znana deklaracja Rady Jedności Narodowej z dnia 15 marca 1944 r. oraz odezwa z dn. 15 sierpnia 1944 r.*

*Wobec skromnej, prostej postaci żołnierskiej gen. Komorowskiego wydają się niestosowne wszelkie huczne słowa. To też witamy go nie zgiełkiem parad, ani słowem wyszukanym. Przyjmujemy go szczerym sercem żołnierskim, pełnym miłości i oddania.*

*ANDRZEJ POMIAN*

# Przegląd tygodniowy

### ZASŁUŻONA RADOŚĆ

Wojna skończyła się właściwie dość skromnie i po cichu. Po długich latach tęsknego oczekiwania ten uroczysty dzień nie wydał się znów tak wielkim zdarzeniem.

Brytyjczycy mieli wiele powodów do radości. Dla nich był to wspaniały dzień zwycięstwa, nagroda za wytrwałość, trudy i ofiary, było to ostateczne usunięcie niebezpieczeństwa, które w pewnych momentach minionego sześciolecia tak poważnie zagrażało Wyspom Brytyjskim i Imperium. Radość, jaka panowała w Londynie, miała w sobie te same cechy wielkości, które podziwialiśmy jeszcze w 1940 roku. Wspaniała dyscyplina beztroskich i rozbawionych tłumów, skromność premiera Churchilla, który zasługą zwycięstwa podzielił się z całym narodem, właściwie wyłącznie narodowi je przypisał, ujmująca prostota rodziny królewskiej w czasie dzień i noc trwających manifestacji przed pałacem, czy też przejażdżek po zbombardowanych przedmieściach Londynu — wszystko to miało ten sam imponujący wyraz spokoju, opanowania i godności, które podziwialiśmy w krytycznych dniach "Blitzu" i oczekiwania inwazji.

### "ADVANCE BRITANNIA!"

Wbrew krakaniu czarnowidzów, Wielka Brytania wychodzi z wojny jeszcze silniejsza, a Impierium brytyjskie jeszcze bardziej zwarte, niż przed 3-im września 1939 roku. Wielka Brytania wychodzi z wojny z Niemcami również szczególnie silna moralnie. W tej radości z zakończenia wojny nie było bowiem nic z jakiegoś odprężenia, z jakiejś skłonności do "spoczęcia na laurach", nic z reakcji tak typowej dla lat, które nastąpiły po ostatniej wojnie, kiedy W. Brytania porzuciła przodującą rolę w Europie i wstrząsana wewnętrznymi kryzysami — umożliwiła postanie nowych imperializmów na tym kontynencie.

Na taką reakcję nie ma dziś miejsca. Premier Churchill dając przegląd pięciu lat swego premierostwa przypomniał zresztą swemu narodowi w sposób niezwykle charakterystyczny obowiązki, ciążące nadal na Wielkiej Brytanii:

*"Musimy jeszcze przypilnować — mówił Churchill — by na kontynencie europejskim proste i szlachetne cele, dla których weszliśmy do wojny — nie zostały zarzucone lub pominięte w ciągu miesięcy następujących po naszym zwycięstwie i by słowa: "Wolność, Demokracja i Wyzwolenie" — nie utraciły prawdziwego znaczenia, które my im przypisujemy".*

*"Na niewiele by się zdało ukaranie Hitlerowców za ich zbrodnie, jeśliby w Europie nie zapanowały prawo, sprawiedliwość, a miejsce najeźdźców niemieckich zajęły rządy totalne i policyjne . . ."*

*" . . . musimy zapewnić — mówił dalej premier Wielkiej Brytanii — by te ideały, o które walczyliśmy, zostały uznane przy stole obrad konferencji pokojowej w faktach i słowach, jak również musimy pracować, by organizacja narodów zjednoczonych, którą tworzy się w San Francisco — nie stała się pustą nazwą i nie była zasłoną dla silnych i szyderstwem dla słabych".*

### FRONTEM DO EUROPY

Są to słowa o znaczeniu historycznym. Kładą one kres rachubom tych wszystkich nowych imperializmów, które liczyły na wycofanie się W. Brytanii z Europy po zwycięskim zakończeniu wojny z Niemcami. Dla narodów, które zostały wyzwolone spod okupacji niemieckiej, lecz nie odzyskały dotychczas wolności — ze słów tych płynie otucha i nadzieja na przyszłość.

W najcięższych dniach 1940 i 1941 roku W. Brytania, ostatni bastion wolności, objęła rolę przywódcy narodów europejskich. Stąd płynęły na falach eteru słowa zachęty i otuchy, rozkazy i instrukcje dla ruchów podziemnych, broń i amunicja dla ich żołnierzy. Wielka Brytania zdobyła wówczas olbrzymi kapitał moralny. Sama własnym przykładem uczyła wytrwałości, wiary w przyszłość i siły oporu. Później, na skutek dalszego rozwoju wojny i zmienionego układu sił poczęliśmy się obawiać, że W. Brytania porzuca rolę, w której chciałaby ją widzieć cała cywilizowana Europa.

Dziś jednak, w chwili zwycięstwa — premier Churchill położył wyraźnie kres tym obawom: Wielka Brytania nie da się usunąć z kontynentu europejskiego i jest zdecydowana dopilnować, by te cele, dla których narody zjednoczone rozpoczęły wojnę — zostały w pełni i uczciwie wykonane. Dla Polski słowa premiera posiadają niezmierną wymowę. Gdzież bowiem, jeśli nie w Polsce właśnie kwestią "być albo nie być" jest, żeby pojęcia "Wolność, Demokracja i Wyzwolenie" miały swój sens właściwy — taki właśnie, jaki nadaje im Churchill.

### ZNÓW OBERKOMMANDO?

Sytuacja, jaka zapanowała w Rzeszy po ostatecznej kapitulacji dowództwa niemieckich sił zbrojnych — wydaje się nadal jeszcze niezwykle zagmatwana. W momencie, gdy sprzymierzeni przygotowują się do zorganizowania wspólnego zarządu Niemiec i rozmieszczenia armii okupacyjnych — działa nadal dowództwo niemieckie i z Flensburga, gdzie prawdopodobnie przebywa Doenitz, płyną rozkazy i instrukcje, "uzgodnione z władzami okupacyjnymi".

Sytuacja ta wydaje się dość niejasna i budzi słuszne obawy, że Niemcy znów przygotowują grunt dla tezy, że nie zostali pobici. Generałowie, którzy pod dowództwem Doenitza w ostatniej chwili uchwycili w ręce ster tonącego okrętu i zdecydowali się na bezwarunkową kapitulację kończącą dalszy rozlew krwi — wzmocnili swą tradycyjną popularność w społeczeństwie niemieckim. Odpowiedzialność za klęskę, za straty, za niszczycielskie przedłużanie wojny i jej nieumiejętne prowadzenie — zostaje przerzucona na partię. Okazuje się, że Hitler jest czymś przemijającym — *Oberkommando* jest wieczne.

Taki stan rzeczy może stanowić poważne niebezpieczeństwo dla przyszłości. Z drugiej jednak strony jest on prawdopodobnie utrzymywany tylko przejściowo — dla zorganizowania okupacji w najbardziej krytycznym okresie. Nie można również zapominać, że po drugiej stronie Łaby istnieje von Paulus ze swym otoczeniem o tych samych co Doenitz tradycjach, lecz mniejszym oczywiście znaczeniu.

Zgodnie z ugodą krymską centralną władzą Rzeszy stać się miała komisja międzyaliancka w Berlinie. Jednak po doświadczeniach z Polską, Rumunią, Jugosławią i Austrią wydaje się rzeczą wątpliwą, czy postanowienia krymskie mają wciąż jeszcze jakąś moc obowiązującą.

### PRZYKŁAD AUSTRII

Jeśli sądzić po przykładzie Austrii to delegaci anglo-amerykańscy wyznaczeni do komisji alianckiej, rządzącej Rzeszą — nie mają się co śpieszyć ze swą podróżą do Berlina. W ciągu pięciu tygodni, które minęły od zdobycia Wiednia, Rosjanie nie dopuścili do stolicy Austrii przedstawicieli alianckich. Spór toczyć się ma o proponowane przez Rosjan strefy okupacyjne. Proponują oni podział Austrii na cztery zony, ale zastrzegają sobie wszystkie lotniska w rejonie Wiednia — na co Alianci nie mogą się oczywiście zgodzić.

Rosjanie postępowaniem swym wskazują, że nie mają zamiaru dzielić się z nikim rządami nad Austrią. W Wiedniu powstał niezgodnie z wszelkimi umowami międzyalianckimi rząd, który ostatnio w sposób zupełnie bezprawny zadeklarował niepodległość Austrii w oparciu o konstytucję, a więc — należy sądzić — również w granicach z 1920 roku.

Rząd ten ma skład dość charakterystyczny. Premier Renner jest znanym zwolennikiem *Anschlussu*. W 1938 roku witał on Hitlera entuzjastycznym artykułem w *"Neues Wiener Tageblatt"*, a następnie oświadczył, że w sławnym plebiscycie głosował za przyłączeniem Austrii do Rzeszy hitlerowskiej. Gabinet wydaje się na pierwszy rzut oka mieć charakter koalicyjny. Ale dziwnym zbiegiem okoliczności wszystkie kluczowe stanowiska polityczne powierzono komunistom.

### PRZYKŁAD LINII CURZONA

Wiedeń nie jest jednym przykładem tego okupacyjnego zamieszania i polityki faktów dokonanych. Przykład Triestu, który został uwolniony przez 8-ą armię "bez pozwolenia" marsz. Tito daje również wiele do myślenia. W mieście tym rządzą ostatecznie jugosłowiańscy "partyzanci", zachowując się w sposób co najmniej wyzywający. Ale port jest trzymany nadal przez Brytyjczyków. Nie wiadomo jakie będą ostateczne losy Triestu, ale Tito, zachęcony przykładem linii Curzona — nie zamierza bynajmniej czekać cierpliwie na rozstrzygnięcia konferencji pokojowej.

Najbardziej jednak zdumiewające wypadki nastąpiły w Gratzu, który — według uzgodnionego schematu okupacyjnego — zajęty miał być przez wojska brytyjskie. W momencie, gdy miasto to nie było jeszcze zajęte przez Aliantów, w Gratzu powstał tymczasowy rząd, ze znanym socjalistą austriackim na czele.

Tymczasem w ubiegły czwartek do miasta wkroczyły niespodziewanie wojska sowieckie. Rządy objął oficer Czerwonej Armii, którego pierwszym zarządzeniem było . . . odebranie ludności odbiorników radiowych — metoda znana i w innych krajach.

Z obrazków tych widać, że okupacja w Europie ma — jak dotychczas — charakter zupełnie improwizowany, dorywczy, a zdawna przygotowane umowy i plany nie są wykonywane. W tej sytuacji — jak zawsze w momentach, gdy stosunki między aliantami zaczynają się psuć — pojawiają się głosy o konieczności ponownego spotkania Wielkiej Trójki. Wiele spraw nagromadziło się w Europie, wiele spornych problemów powstało w San Francisco. Wymagają one szybkiego rozstrzygnięcia — jeśli mogą być jeszcze rozstrzygnięte — na szczeblu przywódców trzech mocarstw, które nie tylko doprowadziły do zwycięstwa nad Niemcami, lecz również są współodpowiedzialne za obecny stan rzeczy.

Czy zdołają one załatwić te problemy zgodnie z wzniosłymi celami, o których z taką siłą mówił premier Churchill, czy znajdą jakieś uczciwe rozwiązanie sprawy polskiej, która nie jest już bynajmniej sprawą wyłącznie Polaków a staje się naczelnym zagadnieniem, od którego należą losy i przyszłość Europy? Przyszłość pokaże — nie widać jednak zbyt wiele optymizmu.

W każdym bądź razie polityka ustępstw kosztem zasad na rzecz siły, która wywoływała tylko wciąż wzrastające i co raz brutalniejsze żądania — wydaje się należeć już do przeszłości.

*ZASTĘPCA*

# Z tygodnia na tydzień

*8 maja: W. Brytania i Stany Zjednoczone ogłosiły oficjalnie o kapitulacji Niemiec.*

*—J.K.M. Król Jerzy VI w telegramie do Prezydenta R.P. napisał: "Na zawsze będzie zaszczytem dla Polski, że oparła się ona samotnie przeważającym siłom niemieckiego napastnika . . . W szczególności, my — w tym kraju — z wdzięcznością wspominamy rolę odegraną przez polskich lotników w Bitwie o W. Brytanię, którą to bitwę cały świat uznaje za przełomowy moment w wojnie".*

*—Wojska niemieckie w Norwegii skapitulowały.*

*—Wojska sowieckie zajęły Drezno.*

*—Oddziały brytyjskie wylądowały na wyspach Guernsey i Jersey.*

*9 maja: W Berlinie został podpisany ostateczny akt kapitulacji Niemiec przez Szefa Niemieckiego Sztabu Generalnego marsz. Keitela, adm. Friedeburga i gen. Stumpfa.*

*—Sowiety ogłosiły o kapitulacji Niemiec.*

*10 maja: Marynarze polscy uczestniczyli w przyjmowaniu kapitulacji pierwszego niemieckiego okrętu podwodnego.*

*—Ogłoszono o poddaniu się garnizonów niemieckich w Dunkierce, La Rochelle, St. Nazaire i Lorient.*

*—Goering i Kesselring zostali wzięci do niewoli przez Amerykanów.*

*11 maja: Kongres Polonii Amerykańskiej wystosował do sekretarza stanu Stettiniusa memorandum, żądające zaproszenia rządu polskiego do San Francisco, niezwłocznego uwolnienia z sowieckiego więzienia działaczy krajowych, oraz wycofania z Polski wojsk sowieckich.*

*12 maja: Do Londynu przybył Naczelny Wódz gen. Bór-Komorowski.*

*13 maja: Ogłoszono o odrzuceniu przez W. Brytanię i Stany Zjednoczone żądania marsz. Tito okupacji Triestu przez jego wojska.*

# Wojna na morzu

### KAPITULACJA

"Jak bieda, to do admirałów" — pisaliśmy na tym miejscu przed kilkoma tygodniami. Ale nawet "wielki-admirał" Doenitz nie potrafił powstrzymać Trzeciej Rzeszy od upadku. Nowy "Führer" był jednak na tyle przebiegły, że poddał się w porę, aby uniknąć niewoli rosyjskiej — tak przez Niemców unikanej . . . No i olbrzymią większość swej floty oddał w ręce Brytyjczyków . . .

Ostatnim okrętem Jego Królewskiej Mości, który zginął w operacjach bojowych, była korweta "Denbigh Castle", zatopiona prawdopodobnie przez okręt podwodny w wigilię zawieszenia broni. Zwyciężona flota niemiecka ma się udać do portów brytyjskich, gdzie ma z czasem zostać rozdzielona między wielkie mocarstwa. Było by to krzycząca niesprawiedliwością w stosunku do mniejszych państw, biorących udział w wojnie — więc mamy nadzieję, że decyzja ta nie jest ostateczna i Polska swoją część otrzyma.

W następnych kronikach rozpatrzymy ostatnie operacje wojenne na morzu. A także . . . przyszłe. Wojna z Japonią nie jest skończona. No i na wodach starej Europy też jeszcze coś nie coś zdarzyć się może.

Na razie bez przesady i bez propagandy powtórzyć możemy w ślad za niemieckim marszałkiem von Rundstedt i innymi wyższymi dowódcami, że o losach wojny zadecydowała marynarka.

Gdyby nie ta marynarka, desant Hitlera na Anglię w r. 1940 byłby faktem dokonanym. Gdyby nie panowanie na morzu — Egipt i droga do Indyj wpadłyby w ręce niemieckie i siły japońskie mogłyby pojawić się na Morzu Śródziemnym. Gdyby nie panowanie na wodach — Ameryka nie mogłaby udzielić żadnej pomocy, a Anglia i Rosja nie mogłyby jej otrzymać. Gdyby nie marynarka — Anglicy, pobici na lądzie w roku 1940, a słabi w powietrzu — nie zdołaliby ani rozbudować lotnictwa, które wygrało bitwę o Anglię i zniszczyło potencjał wojenny Niemiec, ani odbudować wojska, które podbiło Europę. Gdyby nie marynarka — ani jeden żołnierz brytyjski, amerykański czy polski nie stanąłby na kontynencie w dniach inwazji Afryki, Włoch, Francji. Ani jeden statek z naftą, zbożem, czy sprzętem nie przybyłby do Anglii.

Każdy Anglik wie o tym dobrze. Wie, że żadna, największa nawet potęga kontynentalna nie jest dlań groźna, dopóki *"Union Jack"** panuje na morzach. Bo dopiero w oparciu o *"Royal Navy"* — potęga *"Royal Air Force"* i *"Royal Army"* nabiera odpowiedniego, strategicznego znaczenia. A także Ameryka staje się bliskim sprzymierzeńcem demokratycznej Europy.

### KONIEC EPOPEI

Akt kapitulacji — w pierwotnej formie — podpisał generał-admirał Friedeburg, jedna z kreatur Hitlera. Bo trzeba wiedzieć, że w czasie wojny w personelu marynarki niemieckiej zaszły wielkie zmiany. Wielu wyższych oficerów usunięto, a na ich miejsce wyznaczono innych — "lojalniejszych". Szczególnie po ostatnim zamachu na Hitlera rugi były silne. Tym nie mniej marynarka niemiecka wytrzymała kryzys lepiej od wojska i walczyła do ostatka. Ci, co liczyli na powtórzenie się "rewolucji kilońskiej" z r. 1918 — zawiedli się.

Władze brytyjskie przedsięwzięły odpowiednie środki przeciwko ewentualnemu sabotażowi okrętów niemieckich przez własne załogi. Rozpoczęto także trałowanie min, aby zabezpieczyć dostęp do portów. W chwili gdy piszemy te słowa — okręty sprzymierzone są już w portach Niemiec, Danii i Norwegii, a także w Genui, Wenecji, Trieście, oraz na wyspach Archipelagu Greckiego.

Druga wojna światowa pokazała, że jakkolwiek okręt podwodny jest straszną bronią, to jednak — tak jak w pierwszej — sam on wojny wygrać nie może.

### NA PACYFIKU

Wojsko amerykańskie na Okinawa i przyległych wysepkach nie może poradzić sobie z Japończykami, jak tylko oddala się od strefy pokrytej ogniem własnych okrętów. To zmusza marynarkę do ciągłego wspierania wojska i do długiego pobytu na tych niegościnnych wodach. Lotnictwo japońskie wykorzystuje tę okoliczność atakując z lądu okręty "Wuja Sama". Ostatnio udało się mu zatopić 4 okręty lekkie i kilka transportowców. Pancernik i lotniskowiec brytyjski uległy ciężkim uszkodzeniom. Ale floty sprzymierzone pozostają tam gdzie są, natomiast lotnictwo japońskie kruszy się w ciągłych atakach. Według danych amerykańskich, w ciągu tygodnia zniszczono 249 samolotów w walkach z lotnictwem floty U.S.A., a 61 zestrzelono ogniem przeciwlotniczym okrętów.

Od strony Oceanu Indyjskiego nadchodzą również pocieszające wieści. Wyspy Andamańskie i Nikobarskie zostały w większej części odebrane Japończykom. Anglicy i Amerykanie pod osłoną obu flot wylądowali na Borneo. Niedługo zapewne usłyszymy o odebraniu Singapore.

### NA BAŁTYKU

Dojście wojsk angielskich do Wismaru /w. r. 1631 zginęły tam resztki floty polskiej Zygmunta III/ i do Lubeki oraz zawieszenie flagi brytyjskiej na gmachach Kilonii — najważniejszej bazy niemieckiej — ma znaczenie epokowe.

Anglików na Bałtyku nie było od czasów wojny Krymskiej /1854/55/. Po zajęciu tych portów przez wojska Montgomery'ego, okręty brytyjskie, które ostatnio były w Kopenhadze i oczyszczają z min cieśniny duńskie, zapewne wpłynęły już na południowy Bałtyk. W parlamencie angielskim minister Law, na zapytanie jednego z posłów odpowiedział: "Nieprawdą jest, że Rosjanie wylądowali w Danii". Natomiast wybrzeże aż poza Rostock i Warnemünde jest wraz z Rugią w rękach wojsk sowieckich.

Oświadczenie min. Law jest jednak ścisłe tylko co do Danii środkowej. Albowiem ważna strategicznie baza tajnych broni — wyspa Bornholm zajęta została przez marynarkę sowiecką. Za to bandera W. Brytanii powiewa nad Kanałem Kilońskim, i droga na Bałtyk jest otwarta.

Niemcy w Libawie, na Helu i na Mierzei Świeżej /w pierwszym wypadku głównie wojsko, w drugim i trzecim głównie marynarka/ poddali się dopiero 11 maja.

Eskadrze brytyjskiej, która weszła do Kopenhagi zgotowano entuzjastyczne przyjęcie. Krążownik admiralski "Birmingham" zarzucono kwiatami. W porcie poddały się niemieckie krążowniki "Prinz Eugen" /10.000 ton/ i "Nürnberg" /6.000 ton/, 3 kontrtorpedowce i kilkanaście okrętów mniejszych. Sześć kontrtorpedowców Niemcy zatopili sami wbrew postanowieniom zawieszenia broni.

### TRIEST

Wielka Brytania i Stany Zjednoczone zażądały wycofania wojsk marsz. Tito z Triestu. Na poparcie tego stanowiska, krążownik brytyjski "Orion" oraz kontrtorpedowce "Cleveland" i "Lauderdale", zostały wysłane do tego portu. Wielka Brytania sprzeciwia się stanowczo samowolnemu zajmowaniu obcych terytoriów — przed rozstrzygnięciem konferencji pokojowej.

Wielka szkoda, że Polska nie leży nad Adriatykiem.

### POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Pierwsze dwa niemieckie okręty podwodne — U.249 i U.1023 — które poddały się Anglikom, przybyły do Weymouth. Dowództwo *"Royal Navy"* w tym okręgu morskim wysłało dla ich obsadzenia oddział marynarzy polskich z Grupy ścigaczy R.P. Dowódca Grupy — kpt. mar. Jaraczewski — obecny był przy przejmowaniu obydwu okrętów podwodnych. Ze strony Admiralicji Brytyjskiej był to piękny gest kurtuazji, przypominający całemu światu, że Polska Marynarka Wojenna pierwsza ze wszystkich Sprzymierzonych Sił Zbrojnych przeciwstawiła się Hitlerowi, winna tedy mieć swój udział w ostatecznym triumfie.

Jeńcy niemieccy pod eskortą polskich marynarzy pomaszerowali na ląd, a obydwa okręty podwodne udostępnione zostały dla publiczności. Taki wynik wojny też pewno nikomu z Niemców nie przyszedł do głowy, jak i to, że wojna skończy się wejściem dywizji pancernej do Wilhelmshaven.

*JULIAN GINSBERT*

* Nazwa flagi brytyjskiej.

# Żołnierze — jeńcom i wygnańcom

*P.O. Naczelny Wodz wydał w dniu 30 kwietnia r.b. apel do żołnierzy Sił Zbrojnych i urzędników cywilnych, zatrudnionych w instytucjach wojskowych o jednorazowym opodatkowaniu się na rzecz Polaków, zwalnianych z obozów koncentracyjnych, obozów jeńców i obozów przymusowej pracy w Niemczech. Oto treść apelu:*

**Wojska Sprzymierzone w zwycięskim pochodzie zwalniają deportowanych z Polski do Niemiec, do obozów przymusowej pracy, obozów koncentracyjnych i obozów jeńców. Są to milionowe rzesze zarówno mężczyzn, jak i kobiet.**

**Zwalniani rodacy znajdują się często w wyjątkowej nędzy, są wycieńczeni, głodni, odbarci i chorzy, ostatkami sił dążą na zachód z tą jedyną nadzieją, że Wojska Sprzymierzone przyniosą im nareszcie wybawienie i utrzymanie przy życiu.**

**Niewątpliwie znajdują się między nimi nasze najbliższe rodziny, rodziny naszych poległych kolegów i dzieci bezdomne.**

**Te tragiczne kolumny uchodźców nie mogą być ze zrozumiałych względów otoczone należytą opieką natychmiast po wyzwoleniu z obozów. Musi upłynąć bowiem pewien okres czasu, zanim przejdą one pod opiekę właściwych władz. Jest to dla nich okres najtragiczniejszy, w którym potrzebna jest im natychmiastowa pomoc. Rząd Rzeczypospolitej, ani Sprzymierzeni w tym pierwszym okresie nie mogą im udzielić pełnej pomocy.**

**Na nieszczęścia swoich rodaków żołnierz polski zawsze reagował bardzo żywo, czego dawał niejednokrotnie wzruszające dowody. Wobec wyjątkowo tragicznego położenia zwalnianych z obozów Polaków apeluję do wszystkich żołnierzy Sił Zbrojnych i urzędników cywilnych, aby jednorazowo opodatkowali się na rzecz tych nieszczęśliwych. Zebrana przez nas kwota zachowa niejednego przy życiu lub pozwoli przetrwać ten najcięższy okres początkowy.**

**Dowódcom, szefom, kierownikom i komendantom polecam podać ten apel do wiadomości wszystkich żołnierzy.**

**Kwoty zadeklarowane zbiorą oficerowie gospodarczy oddziałów i prześlą je na konto: "Barclay's Bank Ltd., 78, Victoria Str., London, S.W.1. — konto 8753 Polish Soldiers Assistance Fund".**

*Na powyższy apel, jako jedni z pierwszych, żołnierze i ochotnicy P.S.K. II Korpusu i Bazy zadeklarowali jednorazowo kwotę sto tysięcy funtów szterlingów.*

## Ostatnia bitwa Drugiego Korpusu we Włoszech (I.):

# Ruszamy za rzekę Senio

Wozy musimy zostawić za ostatnim zakrętem i resztę drogi na punkt obserwacyjny, jakieś sto pięćdziesiąt do dwustu metrów, odbywamy piechotą. Dzień jest — jak zwykle słoneczne dnie włoskie — gorący. Dochodzi południe, słońce świeci prawie prostopadle, a obfity, gęsty pył ostatniego odcinka drogi osiada grubą warstwą na butach, mundurach i twarzach. Kolumna idących jest niewielka, lecz wznieca swymi krokami wcale potężne tumany pyłu. Trzeba więc rozdzielić się, aby nie zwracać uwagi niemieckich obserwatorów artyleryjskich. Pierwszy pójdzie Naczelny Wódz z dowódcą odcinka, później adiutanci, potem reszta. I trzeba się schylić, przechodząc przez grzbiet, aby nie irytować nieprzyjaciela.

—W tym jasnym powietrzu obserwatorzy widzą wszystko — mówi niski, krępy podpułkownik — poza tym, jak panowie sami zauważyli, teren jest przeraźliwie płaski i nietrudno jest obserwować taką górę, jak nasza.

Powietrze istotnie jest bardzo jasne i panuje w nim wielka, bezbrzeżna nieomal cisza. Nic nie zapowiada nie tylko ofensywy, która za parę kwadransów tu się rozpocznie, ale nawet nic nie przypomina wojny. Przed nami rozciąga się duża, tylko horyzontem ograniczona płaszczyzna. Nie widać na niej żadnego ruchu, nie słychać żadnych odgłosów. Drogi, wpadające z zakrętu w zakręt i ze skrzyżowania w skrzyżowanie są całkowicie opustoszałe. Bez trudu można ulec złudzeniu, że na te ciemne, prawie czarne i opuszczone pola, pola nieorane i nieobsiane, zejdą za chwilę gromady pracowitych a spokojnych oraczy, aby wreszcie przynieść pokój chleb i przyszłość temu krajowi. Że z domów, nieregularnie rozrzuconych odezwie się odgłos normalnego życia.

Gdy jednak przykładam lornetkę do oczu, wiem napewno, że nikt z tych domów nie wyjdzie. Domy są tylko dekoracją dla dalekiego oka, nieuzbrojonego w szkło powiększające. Pozostały z nich jedynie fasady, ściany bez dachów, okien i drzwi. Pola zorały pociski artyleryjskie, przeryły miny i rowy i schrony. Wszystko stanowi wielką "ziemię niczyją" z czasów zimowego zastoju na włoskim froncie.

Ale teraz zbliża się koniec. Jeszcze godzina, jeszcze kilka, najwyżej kilkanaście godzin i wojna stąd się oddali. Pójdzie naprzód. Na północ. Może za tydzień przyjdą tu właściciele, spokojni i lękliwi chłopi włoscy, aby wreszcie na miejscu zniszczenia i walk odbudować wszystko, co było przedtem.

W okopie na punkcie obserwacyjnym jest spokój pełny naprężenia. Generał Anders studiuje przedpole, a potem słucha obszernego meldunku dowódcy odcinka. Minuty i kwadranse wloką się tak, jakby nigdy nie miały się skończyć. Nogi cierpną w wilgotnej ziemi, podniecone zaś oczekiwanie dusi i dręczy. A jeśli coś zawiedzie? A jeśli coś się nie uda?

—Wszystko jest absolutnie pewne — odpowiada na niewypowiedziane pytanie generał Szyszko-Bohusz, dowódca Drugiego Korpusu. — Cała operacja została przestudiowana od początku do końca.

—Nie tylko przestudiowana — dorzuca dowódca . . . Brygady — mieliśmy przecież i próby natarcia w takim samym jak ten terenie, nawet niedaleko stąd.

Były więc próby . . . Zapewne była także i próba generalna, podczas której odbywało się wszystko, tak, jak na prawdziwym przedstawieniu. Teraz nadchodzi godzina premiery. Nawet wszystko dokoła trochę przypomina teatr: wychylamy się przez przedpiersie okopu, jak przez parapet loży. Gdzieś w dole jest ogromnych wymiarów scena, na której za chwilę rozpocznie się akt pierwszy naszego widowiska. Widowisko zaś nosi tytuł: "Ostatnia bitwa we Włoszech".

### "ISKIERKI" WALĄ O ZIEMIĘ

O drugiej godzinie gdzieś zdala zaczynają warczeć samoloty. Równocześnie na przedpolu, tam gdzie kończy się linia naszych oddziałów, wytryskują ku górze białe, czarne, żółte i czerwone dymy. Granica i znak ostrzegawczy dla samolotów, aby nie pomyliły się, aby nie bombardowały własnych oddziałów.

—Pomyłki chyba są wykluczone — mówi jeden z oficerów — tyle przecież jest znaków rozpoznawczych. I dymy i linia rzeki, płachty i specjalne wskaźniki rysowane na ziemi.

Warkot samolotów staje się coraz bliższy i bliższy. Wreszcie widzimy pierwszy klucz. Niebo nad nim jest jasnoniebieskie, przezroczyste. Samoloty wyglądają jak srebrne strzałki, przesuwające się na mapie morza, czy też kosmosu. Powietrze przestaje być ciche. Rozdzwania się jękliwym stękaniem motorów. Rozśpiewuje się przeciągłymi gwizdami, które idą ku nam z przedpola. Dymy przed nami układają się, ustawiają w dość regularną i wysoką, różnobarwną ścianę. Powoli, bardzo powoli pomniejsza się horyzont przed oczami. Kurczy się obszar widzenia przed ścianą, która ma wszystkie chyba barwy tęczy, a przy tym chwieje się jak kurtyna, ruszana podmuchem przeciągów, czy też niewprawną ręką teatralnego praktykanta. Raz ma kolor tylko żółty, potem znów mieni się gamą wszystkich kolorów, potem staje się czerwona i czarna i znowu żółta i znowu różnobarwna.

A samoloty lecą naprzód. Szerokim półkolem okrążają "ziemię niczyją", aby wydłużyć się nad nią linią długą a cienką i znowu skręcić i jeszcze raz się wydłużyć. Tak jak litera "S." Teraz już czoło litery jest dokładnie nad liniami niemieckimi. Samoloty są wyżej, niż zasłona dymów. Zasłona zakryła nam ziemię, ale pozostawiła samoloty. Widzimy więc wyraźnie, jak z pod pierwszego klucza leci snop drobnych, srebrnych błysków.

—Te bomby wyglądają, jak srebrne iskierki — wypowiada ktoś zupełnie niewojskową uwagę.

"Iskierki" robią swoje, bo oto do odgłosu motorów dochodzi huk wybuchów. Ponad kurtynę dymów ochronnych wybucha inna, jednolicie czarna, coraz wyższa i wyższa. Łuny różowych w świetle dnia pożarów kładą się na horyzoncie i z każdą chwilą zwiększają swój złowrogi zasięg. Kurtyny zresztą, dymy i łuny roztapiają się i rozpływają w poczerniałym znagła powietrzu. Nie mija kwadrans, a trudno nam jest już odróżnić gdzie są nasze znaki ochronne, a gdzie znowu eksplozje na nieprzyjacielskim terenie. Nie widać dwóch wyniosłych, samotnych drzew, od których mierzyło się "na dwa palce" w lewo, lub w prawo. Nie widać domów, ani wsi, ani w ogóle niczego.

Właściwie nie ma już na co patrzeć. Ogromna litera "S" przesuwa się z nużącą jednostajnością po niebie. Horyzont czernieje coraz bardziej.

### JAK DALEKO PÓJDZIEMY?

Jest dokładnie pół do szóstej, gdy skręcam łazikiem z podnóża góry i wyrywam gładkim, pustym szlakiem ku oddziałom piechoty na ich stanowiska. Samoloty przestały latać, zaczyna natomiast grać artyleria. Stopniowo. Bateriami. Zaledwie jednak dojeżdżamy do głównej drogi, artyleria wali całą siłą swych dział. W nielicznych domach lecą resztki szyb. Z drzew opadają jak grad szczątki gałęzi. Droga pod kołami łazika zdaje się wzdymać i opadać, podskakiwać i wić się w zwojach i skurczach. Nieustanny, przeciągły huk wdziera się do uszu i powoduje ból głowy.

—No, teraz to ich chyba wykończą do reszty — wykrzykuję w kierunku kierowcy optymistyczne przewidywanie.

On jednak potrząsa z powątpiewaniem głową.

—Pod Cassinem walili mocniej i dłużej — odwrzaskuje — a dranie nie chcieli ustąpić.

—Ale nie było samolotów w tej ilości co teraz — myślę sobie — 1250 bombowców. Same "Nadfortece" i "Liberatory". 611 myśliwców, 2374 ton bomb. A poza tym teren . . .

Mrucząc słowo "teren" przypuszczam w tej chwili, że ten nizinny, płaski teren jest dużo wygodniejszy, niż upiorne zbocza Monte Cassino. Lecz nie wiem jeszcze w tych pierwszych godzinach ofensywy, że już wkrótce jednogłośnie będziemy klęli dolinę lombardzką, po której tyleśmy sobie obiecywali. Nie wiem, że już jutro ktoś mi powie: — "Znacznie lepiej było nacierać pod górę. Niech diabli wezmą tę cholerną płaszczyznę".

Przy drogach rozsiadły się baterie. Mijamy je jedną za drugą, od artylerii najcięższej do lekkiej. Mimowoli zbieram się w sobie i staram się zmniejszyć do mikroskopijnych wymiarów, nieomal skurczyć na dnie łazika, huk bowiem zdaje się roznosić wszystko.

Drogą nie jadą żadne, poza naszym, wozy. Natomiast przesuwają się chyłkiem gromadki cywilów. Wolą na wszelki wypadek iść do tyłu, jak najdalej do tyłu, w głębokim przekonaniu, że tam dopiero będzie bezpiecznie. Jeden z nich rozpaczliwymi znakami zatrzymuje nasz łazik. Chce się dowiedzieć, "czy zaczęła się wojna?"

—Wręcz przeciwnie — odpowiadam — wojna teraz się kończy.

A czy oni mają uciekać? Czy zostać? Czy Niemcy tu nie wrócą?

—Prędzej mi na dłoni winnica wyrośnie — zaklina się zitalizowanym polskim przysłowiem kierowca — jeżeli tutaj przyjdzie choć jeden szwab. Przegonimy ich daleko, daleko.

—Daleko? — zastanawia się włoski chłop. — Jak daleko, czy może aż do . . . Bolonii? Koło Bolonii mam rodzinę . . .

### OSTATNIE PIĘĆ MINUT

Pułkownik Bronisław Chr. nie zmienił się nic od prastarych czasów szkockich. Tak samo ma niedbale nasuniętą furażerkę /nie beret!/ i tak samo jest optymistą. O natarciu swojej Brygady mówi raczej lekko, a napewno bez specjalnego przejęcia.

—No cóż, natarcie jak natarcie — stwierdza swym cichym, spokojnym głosem — przygotowane, zapięte na ostatni guzik, pójdzie, jak nóż w masło. Będziesz miał tutaj trochę ładnych widoków, bo to i krokodyle ruszą i inne cudeńka . . . Jak na wojnie.

Nie mogę jednak w tej chwili dowiedzieć się dokładnie, co to są te "cudeńka", gdyż wyłaniają się odrazu aż dwie rewelacyjne propozycje. Pierwsza jest od Jaksy, który szeptem, niejako na marginesie rozmowy z pułkownikiem, oznajmia, że ma manierkę pełną ognistego koniaku. Równocześnie jednak przychodzi sierżant szef z dowództwa Brygady i melduje pułkownikowi:

—Mamy już dwóch jeńców.

—Dwóch jeńców? — dziwi się pułkownik — przecież jeszcze nie rozpoczęliśmy akcji?

—Tak, ale oni uciekli ze swoich bunkrów do nas. Są zszokowani bombardowaniem lotniczym i artylerią.

Koniak Jaksy schodzi na drugi plan. Idziemy do jeńców. Dwa młode, zupełnie nerwowo roztrzęsione szczeniaki, o twarzach ziemistych, brudnych, zapłakanych. Nie, nic nie wiedzą. Było wszystko dobrze, dopóki nie nadleciały samoloty. A potem świat zaczął się walić. Dym, kurz, piach wdzierały się kłębami przez otwory do bunkrów. Szwaby jeszcze teraz, gdy składają swoje zeznania, wypluwają ten kurz ze spękanych warg. Jeszcze teraz otrzepują mundury z pyłu, wyciągają grudy ziemi z za kołnierzy.

—A jak zaczęła strzelać artyleria — żali się jeden z nich — mieliśmy wszystkiego dosyć. Wołałem na kaprala: "Paul, Paul", ale on nie odpowiadał. Chyba już nie żył. Więc wyskoczyłem z kolegą . . .

—A nie bałeś się wyskakiwać z bunkra na wierzch? — pyta dokładny i podejrzliwy sierżant szef.

—Wszystko mi jedno. Nie mogłem wytrzymać! Nie mogłeeeem! Wytrzymaaaać! — nieprzytomnie krzyczy Niemiec. Oczy jego stają się błędne. Drugi wybucha spazmatycznym łkaniem.

Pułkownik Chr. spogląda na zegarek. Jeszcze pięć minut!

Ostatnie pięć minut stanowi chyba maksimum tego, co może wydobyć ze swych dział nasza artyleria. Domek, w którego resztkach rozmawiamy z jeńcami, zdaje się wsuwać w ziemię i zapadać się coraz głębiej. Drzewa drżą i przeginają się, jakby w czasie letniej, gwałtownej burzy. Nad szosą wzlatują i opadają małe obłoczki kurzu, chociaż nikt przecież w tej chwili nie jedzie po niej, ani nie idzie. Gwizd pocisków układa się w jednolity, niezmącony takt, mniej więcej jak takt kół szybko mknącego na szynach pociągu: raaaz, dwa, raaaz, dwa, raaaz, dwa. To "raaaz" jest długie, przeciągłe i stanowi drogę, którą odbywa pocisk. "Dwa" jest krótkie i mocne — uderzenie pocisku o cel. Wybuch! Jednostajność, niezmienność i potęga tego hałasu daje niemal wzrokowe wizje. Prawie że widzi się całą nawałę, jak przesuwa się nad głowami ruchomym, łukowatym sklepieniem.

Tak, wszystko jest przygotowane, wszystko "jest zapięte na ostatni guzik". To prawda, wiemy o tym dobrze. A jednak w tych ostatnich trzech, dwóch, jednej minucie, atmosfera staje się uroczysta i naprężona. Patrzymy przed siebie, gdzie za drzewami i ogrodami jest rzeka Senio, na którą za moment wyjdzie natarcie. Powoli milknie artyleria. Na kierunku natarcia gaśnie słońce czerwonym blaskiem i tak samo czerwono zapalają się łuny. Jedna czerwień przychodzi po drugiej, jeden blask zastępuje inny. Ustępuje i gaśnie i znika blask boskiego słońca, zjawia się łuna — dzieło ludzkich rąk.

—Przy świetle nasi łatwiej przejdą przez pola minowe — ktoś mówi.

Znagła rozszczekują się *Spandau'y*. Nasze, polskie natarcie poszło na niemieckie linie obronne. Jest dokładnie godzina siódma trzydzieści.

### "CUDEŃKA" POKAZUJĄ CO MOGĄ . . .

Rzekę Senio natura umieściła w płytkim wąwozie, który podobał się rzece, lecz nie podobał się ludziom. Rzeka mogła sobie beztrosko i bez trudu wychodzić z parowu w porach wiosennych powodzi, rozlewać się szeroko i przestrzennie po polach, winnicach i gajach. Wspomagana błotnistą wilgocią nigdy nie schnących bagnisk, potrafiła doskonale zatruć życie wielu pokoleniom leniwych Włochów, zubożyć ich materialnie i ponuro usposobić. Aż wreszcie po iluś tam wiekach bierności znudziły się ludziom rzeczne fantazje: pogłębili parów, wznosząc po obu brzegach rzeki wysokie wały, gęsto, zwarcie ubitej ziemi. Przekopali sieć kanałów wielkich, mniejszych, całkiem niedużych, usiali bagnistą dolinę nużącą symetrią rowów, odprowadzających wodę i wilgoć. To stało się błogosławieństwem pracy i . . . przekleństwem naszego natarcia. Senio z malutkiej, niepoważnej przeszkody urosła do wymiarów linii obronnej. W wałach zaczerniły się prostokątne otwory bunkrów. Pomiędzy rowami i kanałami rozsiadły się pola minowe.

Zmierzch jest już zupełny, gdy powoli, zlekka kołysząc się i hałaśliwie chrzęszcząc gąsienicami ruszają czołgi. Miękki, głęboko odciśnięty w ziemi ślad gąsienic jest chodnikiem dla pieszych. Niech nikt przypadkiem, nie odważy się zejść z tego chodnika, niech nikt, broń Boże, nie popuści wodzów pieszej fantazji. Tam, gdzie idą czołgi jest teren bezpieczny, rozminowany, krok w lewo lub w prawo, czy nawet pół kroku, może się skończyć tragicznie.

Działa czołgów wyręczają w tej chwili artylerię. Z bezpośredniej odległości grzmocą po wale, nie z góry, lecz od przodu. Walą w otwory bunkrów, chcą zgasić ogień *Spandau'ów*. Lecz *Spandau'y* nie mogą pogodzić się ze śmiercią. Odgryzają się gęstym, ponurym jazgotem, usiłują okrążyć swym ogniem czołgi i dosięgnąć, za wszelką cenę dosięgnąć piechotę. Niefortunne, bez szans przedsięwzięcie. W szarym, krzepnącym zmroku skulone postacie żołnierzy "Karpackiej" są już coraz bliżej, nieuchronnie bliżej wału . . .

Ale oto czołgi muszą zatrzymać się, skończył się pas ziemi rozminowanej, trzeba wydłużyć drogę motorom. W sinej, prawie granatowej ciemności plączą się przed czołgami ciemne sylwetki. Co za gratka dla *Spandau'ów*! Rżną z niespełna dwustu metrów radośnie i prawie triumfująco. Trochę dalej, za ich plecami odzywają się sześciogębne *Nebelwerfery*. Na szczęście, niecelne. Pociski ich walą w pustą chwilowo przestrzeń, pomiędzy kompaniami, wyciągniętymi w natarciu, a dowództwami batalionów i Brygady. Tyle tylko, że jeszcze jedna linia płomieni wyrasta, wątła, anemiczna, świecąca jak drogowskaz. Jakby przedsmak, jakby próbka natarcia. Z boku, z ukosa łupią S.S. Niemcy otrząsnęli się z przerażenia, wrócili znowu do formy.

Mija kwadrans za kwadransem, mija godzina jedna i druga.

—Wszystko idzie zgodnie z planem — dźwięczy w słuchawce na punkcie dowodzenia Brygady meldunek majora W., dowódcy . . . batalionu. — Czas już na użycie "krokodyli".

"Krokodyle"! Niewielkie czołgi z miotaczami płomieni wyłażą z ukrycia, z za linii krzaków i gajów i suną ostrym, zgrzytliwym marszem w kierunku wału. Wchodzą w luki pomiędzy kolumnę pancerną, w przejścia drugiego rzutu, specjalnie dla nich rozminowane. Usuwają swym pojawieniem się, jakby zdecydowanym, władczym ruchem ręki piechotę i zaczynają pluć ogniem na linię wału.

Momentalnie robi się bardzo, a bardzo jasno. Czerwono. Ziemia bowiem, choć szara i trawa choć zielona i brązowe drzewka, wszystko to pali się ciemno czerwonym, jaskrawym płomieniem. Ogień *Spandau'ów* milknie, zwinne, ruchliwe patrole saperskie są już na wale. Zakładają ładunki. Uciekają do tyłu. Ze środka wału tryskają jeden za drugim wybuchy. Obsuwa się ku dołowi i rozsypuje się na proch robota wielu pracowitych pokoleń. Wał pęka dużymi, długimi szczelinami.

—Czwarta kompania już jest na wale — brzmi znowu meldunek w Brygadzie. — Likwidujemy resztki niemieckiego oporu.

Jest dokładnie północ, gdy pierwszy czołg ustawia się na wschodnim wale i zaczyna przejeżdżać się po wale zachodnim. W godzinę potem bataliony trzymają już mocno całą linię wału wschodniego. Zaczyna się uporczywa, nużąca strzelanina z obu wałów — z naszego na niemiecki, z niemieckiego na nasz.

Na świecie jest kolorowo i strasznie. Seledynowy parasol reflektorów, krzyżujących się u góry, przecinają gęsto różowe punkty pocisków artylerii przeciwlotniczej. "Pelotka" wytycza drogę naszej artylerii najcięższej, która znów odezwała się i wali na dalekie tyły niemieckie. Tu i ówdzie na poszczególnych odcinkach rzeki lecą błyskawicznym pędem długie, czerwone romby, rozsypując się półkolistą linią płomieni. To znowu "krokodyle" kruszą opór niemiecki. Jest godzina druga i trzecia i trzecia trzydzieści . . .

Sąsiednia Brygada włazi na wał zachodni jednym ze swych batalionów. To nic, że zastępca dowódcy batalionu jest ranny w obie nogi. To nieważne, że nie wszyscy dochodzą. Dowódca pierwszego plutonu, ppor. Franciszek S., który lewą rękę stracił pod Monte Cassino, prawą rzuca celnie granat. Bucha do góry płomień i grzechoczą jedna po drugiej detonacje. Wał otwiera się w środku, pali się skrzyniami amunicji i ciałami obrońców.

Coraz więcej ścieżek i dróg prowadzi przez Senio. Na całej szerokości kompanie ruszają do natarcia. Padają na wodę łódki i deski, kładki i faszyna. Już są prowizoryczne mostki, już są przejścia przez rzekę wąską a głęboką. Obrońcy, którzy nie uciekli, albo nie zginęli — poddają się. W zimnym, granatowo białym świetle poranka, na tle jasnej czerwieni dogasających pożarów, zaczynają bielić się płachty kapitulacji.

### DZIESIĄTY KWIECIEŃ

W dowództwie brygady, gdy wracam, zastaję ludzi o twarzach popielatych i zmiętych. Jaksa wyciąga wreszcie swój koniak i pijemy go pod wilgotnymi od rosy drzewami, drżąc z zimna, zmęczenia i wrażeń. Na tyłach sztabu, w opuszczonej izbie, która normalnie jest tutejszym kasynem, płyną cicho i smętnie z radiowego aparatu sentymentalne, wiedeńskie walce.

—To gra Berlin. "Oni" o tej porze mają najlepszą muzykę — wyjaśnia "pocztowy" dowódcy Brygady.

—Ciekaw jestem, jak długo jeszcze będą grali swoje melodie — zastanawia się Jaksa. — Dzisiaj jest dziesiąty kwiecień. Co będzie za miesiąc?

*MAREK ŚWIĘCICKI*

# Mnie to chwalą!

Siedząc jeszcze w poczciwej, starej Anglii, nie interesowałem się nigdy pierwszą stroną dzienników: komunikaty wojenne były dla mnie zawiłym i nudnym szyfrem; nazwy miejscowości — pustym dźwiękiem bez znaczenia. Zapytany o Arnhem nie umiałbym odpowiedzieć, czy leży w Niemczech, czy w Belgii. /Teraz już wiem, że leży w Holandii, latamy nad nim prawie codziennie/.

Dzisiaj, na holenderskim odludziu, każda strona przedwczorajszej gazety ma swój urok: dostarcza lektury. Dzisiaj sama czynność czytania jest wyszukaną przyjemnością w wielkim, gołym pokoju messy, gdzie stoją dwa stoły, o dwadzieścia krzeseł za mało i nic więcej.

Więc zacząłem czytać również komunikaty z frontu. Zaraz na początek uderzyło mnie, że nazwy miejscowości są mi nie tylko nie obce, ale wręcz bliskie i swoje: Nijmegen — latamy nad nim przecież parę razy dziennie, Goch — to ta kupa gruzów po drodze do Wesel, a samo Wesel też — tam eskortowaliśmy bombowce w wigilię przekroczenia Renu. Xanten, Isselburg — doprawdy, te komunikaty zaczynają być interesujące!

Czytam dalej: "Formacje myśliwskie atakowały kwaterę generała Schmelzenberga" . . . — Ależ to O NAS piszą! Zaczynam puszyć się, jak paw, bo przecież i ja zrzuciłem trzy bomby na tego generała. Wprawdzie Olek, obserwujący z góry, zawołał po moich bombach: — "Beznadziejnie, zupełnie beznadziejnie!" ale skąd on mógł wiedzieć, czy generał nie uciekł do lasu, o milę od domu, tam właśnie, gdzie ja podejrzewałem jego obecność?

Zresztą musiało mu się dostać napewno, bo cały nasz *Wing* — wszystkie trzy dywizjony — spuściły bomby na jego ustronie i jeszcze przygrzały z działek i karabinów. Ważny to był generał /czym dowodził, nie umiem powiedzieć/, bo zerwali nas na *briefing* przed świtem. Na wielkiej mapie Olek pokazał nam miejsce, o którym przed godziną przyszła wiadomość, że tam właśnie stoi kwatera i sztab niemieckiego dowódcy /dywizji — korpusu — armii — niepotrzebne wykreślić/.

Bardzo mnie interesowała droga, jaką przychodzą takie wiadomości. Rozpoznanie fotograficzne z powietrza nie rozpozna generała po orderach, choćby to był Goering. Jeszcze bardziej byłem ciekaw, co generał w tej chwili robi /pewnie spał, *lucky fellow*!/, czy przychodzi mu do głowy, że w tym czasie, o kilkadziesiąt mil od niego, po drugiej stronie Renu, grono młodych ludzi tak żywo interesuje się jego losami, a nawet zamierza na nie wpłynąć.

Po omówieniu zadania przez Olka, "inteligenci", urzędujący przy tej okazji wszyscy co do jednego, zaczęli nas wtajemniczać w szczegóły z pomocą większych i mniejszych map, planów, szkiców i fotografii. Sprytny generał zakamuflował swoją kwaterę w pięknych willach na skraju wielkiego, sosnowego lasu, tuż obok linii kolejowej; to ostatnie nie było bardzo sprytne, bo tor łatwo znaleźć i po torze odszukać przecięcie z szosą, a przy tym przecięciu właśnie stały generalskie wille. Każdy z nas przypatrzył się im jeszcze przez stereoskop, w pięknym, trójwymiarowym widoku. Trudno o lepsze zaznajomienie się z celem; każdy, lecąc teraz na zadanie, miał kwaterę generalską nie tylko na sercu, ale i w oczach.

Wystartowaliśmy jednocześnie. Tego "jednocześnie" nie trzeba brać zbyt dosłownie, kiedy trzy dywizjony, trzydzieści sześć maszyn z bombami startuje z jednego, dziurawego *runway'u*. Samo przykołowanie na start jest uciążliwe, przykre dla pilota i dla samolotu, i zbyt długie. Zaczyna się od wykołowania z *dispersal'u*, w tumanach kurzu i piasku — pełno go masz w oczach, w nosie i w ustach, i tylko martwisz się, czy silnik, oddychający tym piaskiem, będzie równie cierpliwy, jak pilot.

Następnie wchodzisz na drogę z cegły, ale tak wąską, że nie możesz skręcać, aby ujrzeć swego poprzednika, a śledzić go trzeba, jeśli nie chcesz mu nagle obciąć ogona. Wyciągasz więc poza kabinę głowę na łabędziej szyi i z lubością wciągasz w nozdrza rozpalone spaliny z rur wydechowych wraz z czarnym kopciem, bo silnik na małych obrotach.

Potem wchodzi się na szeroki pas i tu już możesz kręcić, a nawet musisz, bo co kilkanaście metrów jest duża dziura od bomby, otoczona żółtymi chorągiewkami. Zakurzony, zgrzany, gryząc piasek i przekleństwa, wykołowujesz na start. Silnik jest jeszcze bardziej zgrzany, temperatura często przekracza dopuszczalne maximum, a czasem twoja maszyna zaczyna puszczać kłęby białej pary z gotującego się glikolu, a ty czujesz się, jak maszynista na parowozie, zwłaszcza jeśli złośliwy kolega bąknie półgłosem przez radio: — "Ej, ty na "F", nie zapomnij zagwizdać przed startem".

Start pojedyńczo, ale w pośpiechu, znowu w chmurze piasku i wirach po poprzedniku. Start na myśliwskiej maszynie, obciążonej bombami, dostarcza zawsze przyjemnego uczucia ulgi p o s t a r c i e. Natomiast dużo wrażeń zawdzięczasz silnikowi, który w czasie startu przerywa, strzela, kopci, gaśnie, lub chlapie olejem. A to w warunkach polowych zdarza się dość często.

Zdarzyło mi się to zaraz przy pierwszym starcie na bombardowanie, co, oczywiście, można by sobie różnie tłumaczyć, ale, niezależnie od tłumaczenia psychologicznego — silnik całkiem fizycznie przerwał, kichnął i rzygnął czarnym olejem na całą szybę, poczem złośliwie zaskoczył, zaczął pracować jakgdyby nigdy nic i uniósł mnie w powietrze absolutnie oślepionego do przodu. Musiałem lądować z bombami, co zresztą może przestraszyć tylko nieświadomych rzeczy.

W czasie opowiadania o tych trudnościach cały *Wing* już zdążył wystartować. Bierzemy kurs na północ i wkrótce zaczynamy "zaplatać", bo linie frontu tylko o kilkanaście kilometrów od naszego lotniska. "Zaplatanie" polega na tym, że cały *Wing*, a w *Wing'u* każdy dywizjon, w dywizjonie każda czwórka, a w czwórce każda maszyna udaje, że leci właśnie pod innym kursem, niż ten pod którym naprawdę chce lecieć: raz na prawo, raz na lewo, trochę w górę, trochę w dół. Wszystko to są figle, płatane artylerzystom niemieckim, którzy nie mogą namierzyć się na samolot, idący, jak pijany.

Linia frontu idzie po rzece. Trudność leży w tym, że na wschód — po trzeciej rzece, na zachód — po pierwszej, a w środku — po drugiej. Zależnie więc od długości geograficznej zaczyna się zaplatać przed pierwszą, drugą, lub trzecią rzeką. Weterani dywizjonu znają teren z zamkniętymi oczyma i wiedzą nawet, gdzie stoi jakie działo i jaki ma kaliber, ale junior dywizjonu ma kłopoty z rozpoznaniem granicy spokojnego i niespokojnego latania. Jeśli zaczął zaplatać za wcześnie, pytają go później na ziemi: — "Twoja maszyna pewnie źle wyważona, nie mogłeś sobie dać rady ze sterami?" Jeśli front szedł po pierwszej rzece, a on myślał, że do trzeciej jest bezpieczny, doradzają mu: — "Lataj tak dalej — jeżeli jesteś nieśmiertelny".

Gadu, gadu, a tymczasem jesteśmy nad celem, a ja mimo uprzedniego gapienia się w stereoskopowe fotografie nie mogę go znaleźć w terenie, a Olek wszystko widzi z wysoka /to nie jest bałwochwalcza waselina, on po prostu lata o tysiąc stóp wyżej i obserwuje wyniki bombardowania/. Przysuwam się więc do mego prowadzącego i staram się zrzucić bomby w to samo miejsce, gdzie on rzuca swoje. Po chwili słyszymy wyżej wzmiankowane słowa Olka: — "Ta dwójka — beznadziejnie, zupełnie beznadziejnie". Jestem zgnębiony, choć nie zaskoczony tą oceną, proszę jednak zauważyć, że dzielę ją po połowie z mym prowadzącym, którego osoby wszakże nie ujawnię, bo nie ma sensu narażać się dowódcom. /"Przestaliśmy się narażać" — żeby użyć jego własnego wyrażenia/.

Pocieszam się następnymi komunikatami z wysoka: — "Dobrze, trochę więcej w lewo". A potem z widoczną radością: — "Bardzo dobrze!" — Oho, to musiał być Tadzio /Tadzio "Góral", nie Tadzio "Szwejk na tyłach"/. Góral ma fantastyczne oko, lub szczęście. Przed paru dniami bombardowaliśmy barki na morzu, nieduże barki, bardzo mało prawdopodobny *"direct hit"*. Leciałem za Góralem i po jego rzucie ujrzałem z barki błysk ognia i kłąb dymu, jak z baterii artyleryjskiej. W pierwszej chwili sądziłem, że strzelają do nas, ale w następnej ujrzałem deski, lecące w górę, a deskami przecież nie strzelają, chyba że jakaś nowa broń.

Tymczasem na kwaterę generalską spadały bomby z następnych dywizjonów, jak gruszki, trzęsione z drzewa, podczas gdy my zbieraliśmy się już w drodze do domu.

Po przekroczeniu linii frontu /naturalnie nie wiedziałem, czy to druga, czy trzecia rzeka, ale podpatrywałem, co robi mój prowadzący/ zaczęliśmy zwierać szyk, żeby z cholernym fasonem przelecieć nad lotniskiem przed rozejściem się do lądowania. To jest właśnie okazja, żeby pokazać fason; każdy dywizjon, a w dywizjonie każdy pilot ma na tym punkcie "hysia". Zakończenie każdego lotu — to pokaz techniki i ambicji dywizjonu, to krótki koncert zespołu wirtuozów /lub partaczy/. Składa się z dwóch części: w pierwszej cały dywizjon przechodzi nisko nad lotniskiem w szyku bojowym, ale zwartym: czwórka dowódcy w środku, dwie czwórki po bokach:

T T T T    T T T T    T T T T

w drugiej części każda czwórka, uformowana w "schody w prawo"

T T T T

oddzielnie przychodzi nad lotnisko jeszcze niżej — możliwie nisko — i najpierw dowódca, a potem następni, w równych, kilkusekundowych odstępach odrywają się gwałtownym skrętem w lewo w górę.

Proste to jest i krótkie w opisie, ale jak często komplikuje się i przedłuża w wykonaniu! W ciasnym szyku trzeba robić łagodne skręty, a więc trzeba daleko odejść od lotniska, żeby na nie najść po prostej. Powietrze jest spokojne tylko przed wschodem i po zachodzie słońca, a my właśnie jesteśmy dzienni myśliwcy, to też termika /gatunek gremlinów, zwany też prądami wstępującymi i zstępującymi/ poniewiera nami w dół i w górę, co jest naprawdę nieprzyjemne w paradnym szyku, skrzydło w skrzydło.

A jeśli zdarzy się przypadkiem, co zdarza się często, że trzeba wisieć nad lotniskiem i czekać w ogonku na lądowanie — a bo jakieś "Tempesty" *short of petrol;* a bo jakiś *big boy* /bombowiec/ *in trouble;* a bo "Tajfun" zapalił się po wylądowaniu, zaleli go specjalną, śnieżno-białą miksturą i stoi teraz, jak marmurowy pomnik uziemionego lotnika na środku *runway'u*, póki go dźwig motorowy nie zwlecze. Wtedy, bracie, poć się w piętnastym okrążeniu dookoła lotniska, z oczyma przywartymi do poprzednika z lewej, pompując gazem, by nie stuknąć go skrzydłem, ani w tyle nie zostać. Z tym większą fantazją wypryśniesz w rozejściu się, byle jak najszybciej otworzyć kabinę i przewiać mokrą, spotniałą twarz i całe ciało.

Ale pytać nas, po co się tak trudzimy, dla jakiego praktycznego celu pocimy się w wysiłku nerwów i mięśni po ukończeniu właściwego zadania bojowego — to tak, jak pytać alpinistę, po co się niepotrzebnie naraża, kiedy znużony i wyczerpany pnie się po karkołomnym skalnym bezdrożu. To ten sam rodzaj słodkiej męki.

Po wylądowaniu najpierw wymyślamy sobie nawzajem za "przejście" i "rozejście się", a dopiero potem za nietrafne bomby.

A w trzy lub cztery dni potem, wertując "najświeższe" gazety, pęcznieję dumą nad komunikatem, że dowództwo /nasze, ale też nie wiem: korpusu, czy armii/ wyraziło uznanie alianckim jednostkom lotniczym za skuteczne zbombardowanie siedziby sztabu generała Schmelzenberga. Ha! — Mnie to kadzą! Mnie to chwalą!

*GUSTAW NIERAD*

# "Cracking Show"

" . . . człowieku, bo Szkopy się zfrajerowali, rozumisz. Im trza było przylecieć, zrąbnąć, co mieli do rąbania i uciekać! A oni sobie promenade blackpoolskie chcieli odstawić, niby w te i we-w-te ganiać, jak te wariaty. No i ganiali, owszem . . . A tu nagle, jak ci nasi nie przylecą . . ."

To nieco Wiechowskie ujęcie było pierwszym oryginalnym sprawozdaniem z noworocznego nalotu, jakie posłyszałem, wychodząc z maszyny. Przeczytawszy w gazetach angielskich o sukcesie Polaków, postanowiłem odwiedzić nasze dywizjony na kontynencie, by tam "na gorąco" dowiedzieć się, jak to było naprawdę. Akurat maszyna była do odprowadzenia — w godzinę czy dwie lądowałem już na tak dobrze znanym mi lotnisku.

Zza Kanału wydawało mi się, że już wieki upłynęły od czasu, gdy odszedłem na odpoczynek. Teraz tu, u nich, poczułem się od razu tak, jakbym ich wczoraj opuścił. Nic się nie zmieniło, wszystko to samo i wszyscy ci sami, co przedtem. Nawet dowódca nie dostał jeszcze następnego awansu . . . Dosłownie, jakbym wczoraj wyjechał.

Mechanicy pierwsi opowiadali mi swe wrażenia ziemne. Po niewyraźnej pogodzie dnia poprzedniego — Nowy Rok zawitał do nich w pełnym majestacie słońca, bezchmurnego nieba i lekkiego przymrozku, który zaciągnął lotnisko cienką warstwą srebrnego szronu.

Dywizjony rozpoczęły rok pracowicie. Już o ósmej rano, z pełnym obciążeniem wystartowały na zadanie zbombardowania przeprawy rzecznej nieprzyjaciela. Maszyny poszły w górę, zebrały się w formację i popruły na kurs.

Mechanicy pozatykali sobą kąty *dispersalu* i w pół-drzemce, gadając o wszystkim i o niczym, czekali na powrót dywizjonów. Nagle usłyszawszy warkot silników, ocknęli się z bezwładu i zaczęli powoli wychodzić na zewnątrz, gotowi do przyjęcia lądujących maszyn.

Ale to nie byli swoi. Za chwilę trzydzieści parę "Focke Wulf'ów" i "Messerschmitt'ów" pikowało na nich ostrzeliwując pozostałe na ziemi maszyny i zabudowania.

W jednej chwili ospałe lotnisko zamieniło się w piekło! Warkot kilkudziesięciu maszyn, pikujących i wypryskujących w górę, bezustanna kanonada, charkot działek obrony ziemnej, dymy i eksplozje zapalonych samolotów, w parę minut zmieniły radykalnie wygląd lotniska. Ze spokojnego zaplecza znalazło się ono raptem w najpierwszej linii frontu.

Mechanicy porozpraszali się dokoła i każdy z ukrycia obserwował bezradnie buszowanie Niemców.

Po długich dziesięciu minutach, nastąpił moment, jaki widzi się tylko na filmach cowboy'skich. Kiedy to już wszystko wydaje się stracone, kiedy bohater zagmatwał się w sytuację, z której nie może już być wyjścia i kiedy nagle, nie wiadomo jak i skąd, przychodzi pomoc! Akcja filmu wyraźnie się przyśpiesza — sala ożywia się głośnym pomrukiem zadowolenia.

Tym razem rzeczywistość przeszła możliwości filmu. Dwadzieścia maszyn zwaliło się nagle na karki Niemców, rozochoconych bezkarnym hasaniem.

" . . . panie poruczniku, odsiecz Wiednia to frajer, przy tym, co tu się działo! My tylko patrzyli jak Szkop jeden za drugim w te Matkie-Ziemie się melduje . . .!"

Spostrzegłszy, że mój rozmówca wchodzi nieco w kompetencje personelu latającego, postanowiłem od pilotów dowiedzieć się ich własnych przeżyć. Akurat paru taszczyło skrzydło rozbitego "Focke-Wulf'a" do *dispersalu*.

Pierwszy Tadek zaczął opowiadać swe wrażenia. Jak to go krew zalewała, kiedy, niewiadomo poco, Igo ciągnął z powrotem na tak dużym gazie.

I, jak właśnie dzięki temu /intuicja dowódcy!!/ przybyli na czas nad lotnisko i zastali tam, według słów oficjalnego komunikatu *"strangers, knocking their home about"*!

> **Polegli na Polu Chwały dnia 14.IV.1945 r.**
> **przy przeprawie z Niemiec pochowani na cmentarzu w Dörpen pow. Aschendorf:**
> **ppor. Czesław Morawski**
> **st. strz. Mieczysław Lamparski**
> **st. strz. Klemens Krauze**
> **st. strz. Tomasz Pamuła**
> **strz. Józef Bartnik**
> **strz. Zygfryd Głodny**
> **strz. Edmund Werner**
> **sanit. Robert Gruenbauman**
> *Dowódca Kompanii i Koledzy*

I, jak w pięć minut po tym, wyrzucili intruzów z chałupy na zbity pysk!

Trudno, żebym pytał wszystkich o wszystko — tylu ich jest, a każdy ma na sumieniu jednego, czy dwóch szwabów! Józio z Karpackiej Brygady, skromny i cichy uczestnik walk tobruckich, niewiele zresztą chce mówić o swych dwóch ofiarach.

Przechodzę więc do "messy", by zobaczyć Bronka, *"top-scorer'a"* dnia wczorajszego. Niestety leży biedak obandażowany i nie śmiem wypytywać go o szczegóły. Po chwili okazuje się jednak, że stan jego nie jest wcale tak groźny . . . On to nazywa anginą — na moje oko, to jest najzwyklejszy "kac" po nieco zbyt zimnym szampanie.

Śmieje się poczciwą gębą z pod koca i opowiada, jak mu "frajer z "Messerschmitt'a" tuż nad ziemią skakał", jak drugiego w pionowej walce na wysokości *zero feet* "na tamten świat wykołował". . . . Jak trzeciego podrąbał, że mu się "pierze sypali", ale niestety nie wie rezultatu, bo inny Szkop dobierał mu się do ogona.

Z sąsiedniego łóżka, Andrzej /nie wiem, jaką chorobę on udaje?/ opowiada o swoim "łańcuchu szczęścia".

"Focke Wulf" — Tadek, "Focke Wulf" — Andrzej! Zrąbał swego z samych karabinów /działka się "skończyli"/ ratując Tadzia, który i tak przywiózł trochę dziur od Szkopa.

Niecodzienną przygodę miał Staś, jeden z najmłodszych pilotów w dywizjonie, który tak się widocznie namarszczył pod haubą: iż dwaj Niemcy w panicznym strachu weszli w ziemię, woląc raczej śmierć, niż ogień jego działek! Oczywiście przyznano mu obydwóch.

Chcąc skompletować całość wrażeń poszedłem do *operation*. Tu spotkałem kapitana Igo, znanego powszechnie pod pseudonimem "Skierka", że niby, jak iskra szybki — który dowodził w tym locie dywizjonem. Zestrzelił jednego Niemca i choć drugi w ucieczce wrąbał się w ziemię, Igo przyznaje się tylko do tamtego.

*"Operation"* ma kłopoty, z takimi jak Igo właśnie, którzy zbyt skromnie oceniają swe wyczyny. Ciągle nadchodzą meldunki z okolicy o nowo-odnalezionych samolotach niemieckich. Pierwszy oficjalny komunikat przyznał 21 strąconych, 2 możliwe i 5 uszkodzonych, a tu już blisko trzydzieści rozbitych, czy spalonych gratów znaleziono. Widocznie tacy, jak ten trzeci Bronka nie dociągnęli do bazy i rozłożyli się gdzieś po drodze. Wszędzie spadali, jedni w pola, inni wybredniejsi widocznie starannie dobierając miejsce swego grobu.

Najtrafniejszego wyboru dokonał pilot "Focke Wulf'a", który przebiwszy dach i sufit piętrowego budynku, wylądował /*believe me or not*/ wśród doniczek i kwiecia w magazynie *"Fleurs naturelles"*. Szczęśliwie, wskutek wczesnej pory, nikogo jeszcze w sklepie nie było.

*HOBBY PILOT*

# Tu mówi Afryka

## (Korespondencja własna "Polski Walczącej")





### GDZIE PIEPRZ ROŚNIE . . .

Uchodźstwo polskie w Afryce Wschodniej związane jest tysiącami mocnych, serdecznych nici z Siłami Zbrojnymi. Nasi żołnierze, zarówno ci, którzy w marcu wyparli Niemców i objęli po nich *"die Wacht am Rhein"* /straż nad Renem/, jak i ci, co walczą w kraju "gdzie cytryna dojrzewa", mają rodziny lub też krewnych i przyjaciół w kraju, gdzie pieprz rośnie, t.j. w Afryce Wschodniej.

Przed 5 — 6 laty nikomu z nas nie śniło się, że u stóp Kilimandżaro lub nad brzegami jeziora Wiktoria rozbrzmiewać będzie mowa polska i że w budynkach ustawionych w wykarczowanej już puszczy afrykańskiej, gdzie do niedawna przez nikogo nie niepokojone swobodnie harcowały stada słoni, zeber i żyraf, że w budynkach tych rano rozlegać się będzie śpiew "Kiedy ranne wstają zorze", wieczorem zaś — "Wszystkie nasze dzienne sprawy". Lecz przyszedł tragiczny wrzesień i, jak jesienna wichura liście, rozrzucił miliony Polaków po wszystkich kontynentach. Dziś nie ma na ziemi takiego zakątka, gdzie by nie było większej lub mniejszej gromady Polaków.

W Afryce Wschodniej i Południowo-Wschodniej jest dziś do 19 tysięcy Polaków. Z wyjątkiem grupy t.zw. Cypryjczyków, liczącej kilkadziesiąt osób, reszta uchodźców rekrutuje się spośród wywiezionych w latach 1939 — 40 do Rosji, którzy wiosną i jesienią 1942 wyjechali do Iranu, jesienią zaś tegoż roku zaczęli przybywać do Afryki, lądując bądź w Mombasie, bądź w Dar-Es-Salam.

Gdy w Teheranie rozeszła się wiadomość, że Iran jest tylko tymczasowym schronieniem i że do ukończenia wojny mamy jechać na stały pobyt do Indii lub Afryki Wschodniej, wśród uchodźstwa polskiego dały się słyszeć narzekania na władze brytyjskie, że posyłają nas do krajów egzotycznych, o innych niż w Polsce warunkach klimatycznych, zamiast n.p. do Kanady, gdzie przyroda i klimat zbliżone są do przyrody i klimatu polskiego. Jednej rzeczy jednak nie uwzględnili ci malkontenci w swoich rozważaniach, a mianowicie, jak niebezpieczna była wówczas droga przez Atlantyk z powodu akcji niemieckich korsarzy podwodnych.

Nie była też bezpieczna droga przez Morze Arabskie i Ocean Indyjski i nawet wiosną 1944 statek, którym uchodźcy polscy z Iranu udawali się do Afryki, kilka dni czekał w zatoce Omana na przybycie okrętów konwojujących. Wszelako niebezpieczeństwo na Oceanie Indyjskim było bez porównania mniejsze, niż niebezpieczeństwa na Atlantyku. Dziś wszystko jest jeszcze okryte mgłą tajemnicy, gdy jednak skończą się działania wojenne w Europie, może dowiemy się, ile ofiar spośród pasażerów cywilnych mają piraci niemieccy na swym sumieniu, jeśli przyjąć, że w ogóle mają sumienie.

Jak mało orientowała się większość uchodźców naszych w tym, dokąd jadą i w ogóle w geografii, dowodzi pytanie jednej kobieciny w chwili, gdy na statku naszym ogłoszono, że lądujemy w Mombasie.

—To i tamte wywozili do tej Donbasy i te także?! — dziwowała się.

### NIE NIEPOKOIĆ SIĘ

Zanim przystąpię do szczegółowego opisu jak żyje i co porabia uchodźstwo polskie na tutejszym terenie oraz do naszkicowania stosunków panujących w tych koloniach, terytoriach i protektoratach brytyjskich, pragnę z góry zapewnić naszych żołnierzy, iż nie mają najmniejszych powodów do niepokoju o los swych bliskich. Wszyscy uchodźcy mają dach nad głową. Oczywiście nie są to mieszkania komfortowe z łazienką, kuchenką gazową, telefonem i t.p., ale mieszka się w nich wygodnie, a już od każdej gospodyni zależy, by to mieszkanie uczynić przytulnym.

Udając się wieczorem na spoczynek, każdy ma tę absolutną pewność, że nie zbudzi go w nocy kołatanie do drzwi i okrzyk: *"Haende hoch!"* lub *"Sobirajties s wieszczami!"*. Ile to warte, ten tylko ocenić potrafi, kto to przeszedł.

Wszyscy uchodźcy są ubrani, obuci i syci, a co się tyczy t.zw. trunkowego narodu, to i ten za niewielką cenę może gasić swe pragnienie. I to wszystko otrzymuje się bez wystawania w kolejkach, jak w Londynie, i nie na kartki.

A gdy nad głowami naszymi rozlega się brzęczenie samolotu, nikt o to się nie niepokoi, nikt nie biegnie do schronu, jak w Londynie, bo każdy wie, że jest to niewinny samolot pasażerski, odbywający drogę między Kairem a Cape Town i zbaczający po drodze do Nairobi i Mombasy.

Może mi kto zadać pytanie: A malaria? Istotnie Afryka jest klasycznym krajem malarii we wszystkich jej odmianach.

### MALARIA

Kto raz postawił nogę na lądzie afrykańskim, ten malarii nie uniknie. Ale i ta plaga afrykańska nie przedstawia się tak groźnie i nie taki diabeł straszny, jak go malują. Przede wszystkim większość naszych uchodźców zawarła już z nią znajomość na południu ZSRR i w Persji. Ponadto wszyscy nasi lekarze, może z małymi wyjątkami, w ciągu ostatnich lat zapoznali się z chorobami tropikalnymi, a w każdym bez wyjątku osiedlu polskim jest przychodnia albo szpital i zupełnie dostateczna pomoc lekarska. W wypadkach poważniejszych chorego odwozi się do najbliższego miasta do szpitala angielskiego, zazwyczaj postawionego na bardzo wysokim poziomie. W Kampali, w stolicy Ugandy, zbudowano nowy piękny szpital polski na 30 łóżek dla chorych z pobliskich najliczniejszych osiedli polskich w Koji i Masindi.

Prócz tego wszyscy uchodźcy zaopatrzeni są w moskitiery, chroniące przed ukąszeniem roznosiciela malarii moskita Anophelesa. W niektórych osiedlach niezaciąganie nad łóżkiem moskitiery na noc jest karane grzywną i niejedna babina skarży się przed swą kumą, że zmuszają ją do spania pod . . . muszkieterem.

Zresztą i do malarii da się zastosować jedyne mądre powiedzonko, jakie nam stale w Rosji do głów wbijano: *Priwykniesz*. Tak jest istotnie. Ze wszystkich żyjących stworzeń człowiek najłatwiej umie dostosować się do nowych, odmiennych warunków życia i najłatwiej aklimatyzuje się. Przyzwyczailiśmy się i do malarii.

Gorszą od malarii jest inna choroba, która trapi całe uchodźstwo i na którą na razie nie widzimy lekarstwa. Nazywa się t ę s k n o t a i każdy uchodźca, jeśli nie powtarza dosłownie słów Wieszcza:

*"Kiedyż nam Pan Bóg wrócić*
*z wędrówki dozwoli,*
*I znowu dom zamieszkać na*
*ojczystej roli"*

— to z pewnością myśli jego i uczucia po tej właśnie idą linii.

### OBCA ZIEMIA

Jeżeli kiedyś w Afryce pojawi się jakiś czarny Monroe i bębny w puszczy od Gór Księżycowych do Przylądka Dobrej Nadziei i od Dakaru do Mombasy będą wybijać hasło "Afryka dla Afrykańczyków", to będzie to nie tylko zawołaniem politycznym, lecz podświadomą prawdą naukową. Tak, Afryka nie jest dla Europejczyków, a zwłaszcza nie jest dla Polaków przywykłych do jesiennych pluch i mgieł, do wiosennych roztopów, do lutowych lutych mrozów. Afryka to słońce, które nie grzeje, lecz praży, nie świeci, lecz oślepia.

Jeśli pomimo to, mieszkając prawie na samym równiku, nie odczuwamy tak gorąca, jak chociażby latem w Teheranie, to dlatego, że cała ta połać Afryki, gdzie rozrzucone są osiedla polskie, stanowi płaskowyż od 2 do 7 tysięcy stóp nad poziomem morza. W stolicy Kenyi, Nairobi, będącej ośrodkiem władz polskich dla Afryki Wschodniej i Południowo-Wschodniej, urzędnicy naszych delegatur muszą nocą nakrywać się dwoma kocami i to w miesiącach grudniu i styczniu, które tu na południowej półkuli są szczytowymi letnimi miesiącami i odpowiadają naszemu czerwcowi i lipcowi na północy.

Bardzo dziwnie czuliśmy się tu w Boże Narodzenie. Wszystko było jak się patrzy: i opłatek, i Pasterka, i kolędy śpiewano, a nawet gromada murzynów z Armii Zbawienia obchodziła domki polskie, śpiewając w języku *swahili* jakąś kolędę, w której każda strofa kończyła się na . . . "Alleluja", a w południe z nieba lał się żar, jak gdyby to nie było Boże Narodzenie, lecz Piotr i Paweł.

Obca ziemia, obca przyroda, wszystko dla nas obce.

Zada ktoś może pytanie: A Anglicy, przecież mieszkają tam Anglicy?

Owszem, mieszkają tu Anglicy, niektórzy już w trzecim pokoleniu, lecz to są wyjątki. Młody, przedsiębiorczy Anglik przyjeżdża do Afryki Wschodniej na 10 — 15 lat, by tu się dorobić fortuny i potem wrócić do swej macierzy europejskiej. Jest jeszcze drugi typ Anglika, młodego człowieka, który nie może wyżyć się w ramach życia europejskiego. Nie jest to bynajmniej element przestępczy i często rodzice wysyłają synalka do Afryki, by się "wyszumiał". Dla nich Afryka jest tym, czym dla Francuza Legia Cudzoziemska. Wszyscy oni, pracując tu w rozmaitych urzędach, mają to słuszne przeświadczenie, że spełniają jakąś pożyteczną misję dla swego *Commonwealth'u*. A my co?

Obca ziemia, obca przyroda, wszystko obce.

### ROZRZUTNA NATURA

Transporty, które opuściły Iran wiosną 1943 lub 1944, przybyły do Afryki z początkiem zimy. Na przykład ostatni transport, który wyruszył z Teheranu w połowie maja 44, przybył do obozu przejściowego w Makindu dn. 22 czerwca, t.j. na sam początek zimy kalendarzowej i tegoż roku przeżywał na południowej półkuli drugą wiosnę. Dlatego nie należy tu nigdy pytać niewiasty: Ile wiosen pani sobie liczy?, bo jeśli trafi się na niewiastę prawdomówną — a przecież wprawdzie rzadko, ale zdarzają się i takie — to spiecze raka i do rzeczywistej liczby wiosen będzie musiała dodać jeszcze jedną.

Wiosna w Afryce Wschodniej przypomina jakąś panią Nowobogacką /Parweniusz z domu/, obwieszającą swe kształty wszystkimi posiadanymi klejnotami, czyniącą z siebie istną wystawę jubilerską. Przyroda tu na wiosnę — "wypucza się". Jakaś orgia barw, bachanalia kształtów, sarabanda zapachów i dźwięków! I wcale nie trzeba, jak to czynił Arkady Fiedler na Madagaskarze, rozpinać ekran i jaskrawo go oświetlić. Wystarczy w wieczór wiosenny posiedzieć w mieszkaniu przy otwartym oknie i przy naftowej lampie, by zleciały się roje motyli, ciem, żuków, chrząszczy, modliszek i t.p. Niektóre mają tak piękne kształty i barwy, że poprostu trudno oczy oderwać.

Tu się też przekonać można, że prócz przysłowiowego niebieskiego ptaka, co to nie sieje, nie orze i t.d., istnieje prawdziwy niebieski ptak o pięknym ciemno niebieskim upierzeniu i żółtych dużych oczach. Nawet nasza skromna szara jaskółka, która tu tak samo buduje swe gniazdo pod dachem lub okapem, tu przybrana jest jak na maskaradę: granatowy fraczek, ceglastego koloru kapturek i biała w czarne prążki kamizelka.

Wszystko to oszołamia i olśniewa, lecz do serca nie przemawia i każdy z nas wolałby odetchnąć zapachem czeremchy, bzu, jaśminu lub jeszcze skromniej powiewem świeżo skoszonej łąki albo poprostu dymem wiejskiej chaty. Bo jak to przed laty napisał Antoni Sygietyński: "Milszy mi jest dym rodzinnej chaty, niż zamorskie kadzidła".

*ROMAN BOSKI*

# Książki o wojsku i o wojnie

## "Żołnierz z Monte Cassino"

Polski Korpus we Włoszech nie tylko odniósł wspaniałe zwycięstwo na Monte Cassino, ale również może zapisać na swoje konto zwycięstwo w dziedzinie propagandy, ponieważ album fotograficzny p.t. "Żołnierz z Monte Cassino", wydany ostatnio przez Oddział Kultury i Prasy 2-go Korpusu w Rzymie jest bezsprzecznie najlepszym polskim wydawnictwem tego rodzaju, jakie ukazało się podczas obecnej wojny.

Autorem tej pięknej książki jest inż. Wiktor Ostrowski, znany przed wojną taternik, uczestnik kilku wypraw w egzotyczne góry, autor książek o Andach i Kaukazie, w których wykazał zarówno dobroć pióra, jak i doskonałość swojej kamery fotograficznej. Na całość albumu złożyły się zdjęcia siedmiu fotografów /A. Chruściel, inż. W. Hryniewicz, inż. K. Hryniewicz, F. Maliniak, inż. W. Ostrowski, inż. T. Olszewski, T. Szumański/. Ostrowski zebrał je w zwartą, wymowną całość i zaopatrzył w teksty. Jego pracę można porównać z montażem filmowym, a album z filmem, takim, jak n.p. słynne "Desert Victory", z tą tylko różnicą, że obrazy są nieruchome.

Dobór i układ zdjęć tej pracy odbiegł daleko od szablonów pokutujących w naszej fotografice propagandowej. Nie ma wśród nich bezmyślnych grup i scen, nie ma wizytacyj i wspólnych obiadów, defilad i przeglądów, fasowania mundurów i ćwiczeń, skrobania ziemniaków i dziewcząt ściskanych przez "liberatorów" — słowem tej całej nudy, tego szmelcu, jakim z braku na niektórych frontach foto-reporterów z prawdziwego zdarzenia i dzięki dezorganizacji naszego serwisu fotograficznego — trzeba wypełniać wydawnictwa poświęcone nieraz tak wspaniałym tematom, jak n.p. polskie boje w Norwegii.

Obrazy omawianego albumu pokazują natomiast właśnie to, co było walką o Monte Cassino, a więc ludzi, ich odwagę i krwawy trud, ich rozmach i upór, śmiertelne znużenie i wolę zwycięstwa, ból z odniesionych ran i dumę z dobrze spełnionego zadania. Te zdjęcia pokazują drugi ważny czynnik — teren walki: urwiste ściany gór i gardziele dolin, rozdarte, pokaleczone skały i potrzaskane mury. Miejscami na pierwszy plan wysuwa się broń, która i przeciw której walczył żołnierz, jej moc i gniew, jej straszliwa wydajność i melancholia zdruzgotanego kształtu — bo broń żyje, walczy i umiera jak żołnierz.

Te obrazy utrwalonej rzeczywistości nie tylko oddają zgrozę, ale i piękno. Polne kwiaty na tle ruin klasztoru; obnażona, pławiąca się w słońcu obsługa działa plot.; siostra nachylona nad rannym i wiele innych — to najwyższy poziom fotografii artystycznej. W tych zdjęciach jest ruch, życie, rozpęd, jest też szeroka przestrzeń widoku górskiego. Te zdjęcia są tak wymowne, że w większości wypadków nie potrzebują zupełnie opisu.

Owszem — znajdziemy w tym albumie bardzo odrobinę oficjalności. Ale jakiej! . . . Oto gen. Alexander, głównodowodzący frontu we Włoszech salutuje polskie sztandary, a gen. Anders odbywa przegląd długich wyprężonych szeregów — mogił żołnierzy zwołanych na wieczystą paradę.

Album poświęcono żołnierzowi z Monte Cassino, obojętnie czy jest generałem, czy prostym szeregowcem. I właśnie ten żołnierz zgodnie z zamysłem autora stał się prawdziwym bohaterem tego reportażu fotograficznego, tak jako żołnierz — jeden z wielu, a więc symbol, jak też jako żywy człowiek, poszczególna osobowość, ze swoim własnym obliczem i wyrazem.

Opowieść fotograficzna o sławnym boju kończy się zdjęciami, przedstawiającymi żołnierzy polskich, którzy po krwawej walce podnoszą i ustawiają na miejscach zburzonych ołtarzy ocalałe posągi Matki Boskiej. Jest to jeden z najpiękniejszych hołdów złożonych żołnierzowi za jego ideowość.

Album "Żołnierz z Monte Cassino" osiągnął w pełni poziom tematu.

Warto dołożyć największych starań, aby to wydawnictwo, zaopatrzone w angielskie teksty i — przydałoby się — w trwalszą oprawę, zostało jak najprędzej rozpowszechnione na terenie Wielkiej Brytanii.

## Wspomnienia spod Arnhem

Dobry korespondent wojenny poluje zawsze na jakieś mocne, niecodzienne przeżycia na froncie, nieraz nie bacząc na niebezpieczeństwo, bo z tego powstaja najlepsze opowiadania.

Marek Święcicki poszedł właśnie taką drogą. Chociaż przedtem prawie nic nie miał wspólnego z wojskami powietrznymi, nie namyślając się długo wsiadł na szybowiec, poleciał i wylądował w samym środku . . . piekła, bo taka nazwa przyjęła się ogólnie na określenie tego, co przeżyli żołnierze brytyjskiej 1 Dywizji Powietrznej i polskiej Brygady Spadochronowej w głośnej bitwie o Arnhem. Z takiej też właśnie wyprawy dziennikarskiej powstała jego książka, p.t. "*With the Red Devils at Arnhem*",* wydana ostatnio po angielsku przez Maxlove Publishing Co. w Londynie.

Jest to opowieść o siedmiu dniach spędzonych przez autora w Oosterbeek na niewielkim obszarze, okrążonym ze wszystkich stron przez Niemców. Wojska powietrzne broniły się tam zaciekle w oczekiwaniu nadejścia sił lądowych, które wykorzystałyby przyczółek zdobyty za Renem. Walka skończyła się niepowodzeniem, dramatycznym odwrotem niedobitków z północnego brzegu rzeki.

Były to więc boje sławne, bohaterskie, ale bardzo smutne. Dużą zaletą książki jest to, że jej ogólny nastrój jest raczej pogodny i żartobliwy, owiany nieco wisielczym, ale tym bardziej prawdziwym humorem, bo właśnie tak odpowiadał żołnierz wojsk powietrznych na wszystkie przeciwieństwa losu i dlatego bitwa o Arnhem stała się przykładem heroizmu i wysokiego ducha żołnierza.

Bardzo dobrze się stało, że autor napisał tę książkę specjalnie dla angielskiego czytelnika. Z pewnością ujmie go nastawieniem i stylem, i będzie dla niego nowością, bo udział Polaków w tej bitwie był na ogół przemilczany w publikacjach brytyjskich, a nieraz przedstawiony w nieodpowiednim świetle, jak n.p. w anonimowej książce napisanej przez brytyjskiego pilota szybowcowego, p.t. "*Arnhem Lift*".

Trzeba pamiętać, że bitwa o Arnhem posiada dla czytelnika brytyjskiego nieco inny ciężar gatunkowy, niż dla nas. Dla Polaków jest to pierwsza w ich dziejach bitwa wojsk powietrznych, z której wyszli z dużymi stratami, ale na ogół obronną ręką i zdobyli cenne doświadczenia bojowe w jeszcze jednej dziedzinie nowoczesnej wojny. Ofiara złożona przez żołnierzy w tej bitwie, nie wydaje się nam czymś nadzwyczajnym, bo niestety musieliśmy przyzwyczaić się do składania ofiar, nieraz o wiele większych, bardziej wstrząsających. Natomiast społeczeństwo brytyjskie zostało wstrząśnięte krwawą hekatombą 1 Dywizji Powietrznej i bohaterstwem wykazanym przez żołnierza.

Poza tym to niepowodzenie nastąpiło po długim łańcuchu zwycięstw odnoszonych przez wojska sprzymierzone, które osiągnąwszy przewagę techniczną nad Niemcami jednym zamachem wyzwoliły Francję, Belgię i część Holandii. Bitwa o Arnhem zakończyła pierwszy etap wielkiej ofensywy. Tam już nie było miażdżącej przewagi broni i sprzętu, tam żołnierz wojsk powietrznych musiał swoje lekkie uzbrojenie wzmocnić siłą charakteru, odwagą i determinacją. Dlatego Arnhem posiada akcenty rycerskiej brawury, mierzenia sił na zamiary, romantyzmu. Ta bitwa miała w sobie coś z polskich wojen, a więc przemówiła do Brytyjczyka nowym językiem, wzruszyła go i zachwyciła.

Od losu bitwy o Arnhem zależało bardzo wiele. Wygranie jej mogło znacznie przyśpieszyć koniec wojny, Lecz stało się inaczej. Jeszcze raz okazało się, że samym romantyzmem nie wygrywa się bitew i wojen, że trzeba do tego dodać jeszcze bardzo dużo prozy, t.zn. brutalnej, materialnej przewagi, czołgów, artylerii, lotnictwa.

Książka Święcickiego, chociaż ujęta w formę lekkiego opowiadania, posiada jednak wartość dokumentu, bo rejestruje fakty, daje wyjaśnienie, dlaczego tąk dzielnie walczący żołnierz nie mógł osiągnąć zwycięstwa. Dlatego też, dla ścisłości kronikarskiej, chciałbym dorzucić parę drobnych uwag oraz sprostować nieco pomyłek, od których trudno było ustrzec się autorowi, jako że pisał książkę na gorąco. Rękopis był ukończony już w parę tygodni po powrocie autora do W. Brytanii, a trudności wydawnicze opóźniły ukazanie się książki.

Porucznik Smaczny /str. 72-73/ w rzeczywistości przeprawił się do Oosterbeek o noc wcześniej i na szczęście nie zginął, lecz trafił do niewoli. Natomiast porucznik Pudełko /str. 74/ prawdopodobnie stracił życie, kiedy pod koniec ewakuacji późnym świtem płynął wpław przez Ren.

Porucznik Halpert /str. 28/ wyszedł obronną ręką z opisanej przygody, t.zn. po odniesieniu rany trafił wraz ze szpitalem do niewoli, wyzdrowiał, spędził kilka miesięcy w obozie jeńców i uwolniony przez wojska sprzymierzone, szczęśliwie powrócił do Brygady.

Jeden z głównych bohaterów książki dzielny kpt. M. trafił do niewoli w ostatnim dniu przed ewakuacją, kiedy przekradał się przez las zajęty przez Niemców, aby dostarczyć amunicji dla polskich pepanców. Jest już również z powrotem w Brygadzie.

Nazwisko poległego kapitana, dowódcy batalionu, który przeprawił się do Oosterbeek brzmi nie Glazurek /str. 80/, lecz Gazurek.

Oddział rozpoznawczy 2 Armii, który pierwszy przedarł się do Drielu, składał się nie z dwu czołgów /str. 61/, ale z dwu samochodów pancernych oraz z dwu *scout-car'ów*.

Wreszcie nazwa rzeki Lek, która często powtarza się w książce równolegle z nazwą Dolny Ren, pokutuje w wielu innych pracach o Arnhem nie wyłączając moich własnych. Jest to jednak niewłaściwe, bo Arnhem leży nad Dolnym Renem /po holendersku Neder Rijn/, który o wiele dalej na zachód, bliżej morza, przybiera nazwę Lek.

Wszystko to są drobiazgi, które niczym nie wpływają na jakość tej dobrze napisanej książki. Jej pociągająca szata zewnętrzna, udane tłumaczenie, doskonałe mapki sytuacyne, krótka ale wymowna przedmowa gen. R. E. Urquharta, dowódcy brytyjskiej 1 Dywizji Powietrznej, liczne ilustracje i estetyczna okładka Krystyny Święcickiej — stanowią całość, którą z pewnością czytelnik brytyjski z zainteresowaniem i przyjemnością weźmie do ręki. Jest to nasze zadanie, aby dotarła do jak największej ilości czytelników w tym kraju.

*EUGENIUSZ ROMISZEWSKI*

* Jednocześnie ukazała się ona po polsku: "Czerwone diabły pod Arnhem"; wydana została przez Bibliotekę "Orła Białego" w Rzymie.

# Skrzynka pocztowa

### LIST ANGIELKI

Szanowny Panie Redaktorze!

Na chwilę końca wojny w Europie, śpieszę Panu napisać parę słów, aby wyrazić moje najbardziej wdzięczne podziękowanie wszystkim jednostkom polskim, które tak wspaniale walczyły ramię przy ramieniu z nami — za ich część w obronie tej wyspy. Szczerze składam hołd duszom tych bohaterów poległych na polu chwały, na czele których leży ś.p. Generał Władysław Sikorski. Wieczna cześć ich pamięci!

Z całego serca życzę Polsce i Jej narodowi szczęśliwego powrotu do pokoju i pomyślności. Najjaśniejsza Rzeczpospolita niech żyje!

*E. Risley-Hutt,*
Mayfair Hotel, Minehead
/Somerset/.

### DO P.T. CZŁONKÓW ORAZ SYMPATYKÓW BRYTYJSKO-POLSKIEGO KLUBU KORESPONDENCYJNEGO

Kochani Koledzy!

Po długich a ciężkich cierpieniach zrodził się nasz szumnie zapowiadany i reklamowany *The British-Polish Correspondence Club*. Prawdziwy krzyż Pański miałem najpierw z ospałymi rodakami, później z węszącymi różne podstępy Anglikami, wreszcie pięć tygodni mordęgi z drukarnią. Ale już, tym razem naprawdę już! Drukowana lista członków, zawierająca blisko tysiąc adresów, została rozesłana w dniach 4 i 5 maja do tych, którzy mieli odwagę wpisać się do Klubu do końca marca b.r.

Drodzy moi. Wiem, że olbrzymia większość z Was nie potrzebuje żadnych pouczeń jak należy zachować się w Klubie. Każdy z Was posiada odrobinę taktu, zna zasadę "nie czyń drugiemu co tobie niemiło". Każdy z Was zdaje sobie sprawę, że pracę w Klubie rozumiemy przede wszystkim jako pracę dla dobra Polski, a potem dopiero dla własnej przyjemności.

Ponieważ jako sekretarz Klubu skupiam nici akcji w mym ręku i od czasu do czasu odgłosy korespondencji dochodzą mnie różnymi drogami, chcę Was uprzedzić, że niestety nie wszyscy z nas podchodzą do korespondencji z Brytyjczykami /a zwłaszcza z niewiastami/ w sposób właściwy. Praca nasza nie rozpoczęła się jeszcze na dobre, a już otrzymałem dwa delikatne zażalenia ze strony angielskiej. Pierwszy czy drugi list zaczyna się od wybuchów gwałtownej, nieokiełznanej miłości, tymczasem szanujące się Angielki /a zapewniam Was, że tylko takie są w naszym Klubie/ są trzeźwe i nie lubią, by im ni z tego ni z owego zaczynać prawić o miłości. Owszem, owszem, możecie z czasem zacząć również o miłości, ale dopiero, gdy nadejdzie czas i okazja, no i jaka taka nadzieja wzajemności.

Paplanie o miłości nie jest jednak naszym celem. Celem naszym jest, aby Anglicy nabrali szacunku dla nas, aby dowiedzieli się, za jaką sprawę walczymy, co każdy z nas przeżył w obecnej wojnie, co nas boli, gdzie są nasze rodziny, w co wierzymy, gdzie chcemy wrócić i t.d. i t.d. Tematów zdaje się jest bez liku, zresztą po jednym czy po dwu formalnych listach Anglicy sami zaczną Was pytać o to i o owo. A jeżeli nie wiesz jak w ogóle zacząć pierwszy list, jak zatytułować: Mrs. A. czy Miss B., cóż łatwiejszego, jak zwrócić się o radę do bardziej światowego kolegi lub do oficera oświatowego.

Szczerze mówiąc, nie zamierzałem pisać do Was całego tego "Paternoster" /myślicie, że nie mam większych zmartwień?/, ale przypomniałem sobie staropolskie przysłowie, że "strzeżonego pan Bóg strzeże". Zresztą czyż mamy tylko radzić sobie wzajemnie, a nie wygarnąć czasami, jeżeli zajdzie potrzeba, kilku cierpkich słów prawdy?! Niestety żołnierz nasz nie zawsze potrafi zachować się odpowiednio do sytuacji. Wspomniałem o dwu "delikatnych" zażaleniach Angielek na naszych niedorosłych donżuanów, ale powiem Wam o wypadku daleko gorszym — prawdziwa "granda" — całe szczęście, że wydarzyło się to poza terenem naszego Klubu.

Było to przed Bożym Narodzeniem roku Pańskiego 1944. Jedna poważna Angielka, entuzjastka Polski, dała ogłoszenie w prasie polskiej, że chce po wojnie przyjechać do naszego kraju na dłużej, pomóc nam, ale że nie ma możności nauczyć się polskiego. Chciałaby przeto spędzić, za zapłatą, ze dwa tygodnie w okresie świąt w polskiej rodzinie na terenie W. Brytanii.

Zapisałem sobie skrzętnie adres owej Angielki. Myślę sobie: to będzie dopiero cenny nabytek w naszym Klubie. W styczniu czy w lutym, gdy plany Klubu dojrzały, piszę ja grzecznie do Angielki, że wiem o jej przyjaźni dla Polski, o jej chęciach nauczenia się polskiego, że możeby powstający Klub mógł jej służyć jakąś pomocą i t.d. Odpowiedź piorunująca, omal ze stołka nie spadłem: grzeczne, ale stanowcze Nie! I nie zgadniecie — dlaczego?

Pisze mi owa Pani: "Tak, naturalnie, Klub Pana wydaje się być rzeczą bardzo pożyteczną, zasługującą na wszelkie poparcie i t.d. i t.d., ale wie pan, ja nieco zraziłam się, ogłaszając mój adres i straciłam sympatie dla Polski. Bo oto naskutek mego ogłoszenia otrzymałam szereg listów od polskich żołnierzy. Pomyśleli oni sobie, że jakiś trzpiotek angielski szuka silnych wrażeń /dosłownie!/ w męskim towarzystwie. Obawiam się, że mogłabym narazić się na coś podobnego, ogłaszając mój adres ponownie".

No co, granda, czy nie granda, żołnierzu Chrystusowy!? Angielka wydaje pieniądze, suszy głowę nad zawiłościami polskiej mowy, aby po wojnie przyjechać do Polski, otrzeć łzy Twojej matce, czy siostrze, a Ty — jeden z drugim — propozycje miłosne jej robisz!! Większej grandy w życiu nie oglądałem, nawet za linią Curzona, bo tam przynajmniej idzie o jakieś cele polityczne, terytoria, panowanie nad światem. Drodzy Koledzy, jeżeli przypadkiem wywąchacie, kto to zrobił, mam nadzieję, że zbierzecie się do kupy i wstawicie takiego porządnego "koca" draniowi, że mu się raz na zawsze odechce wszelkiej miłości.

Bądźcie zatem rozważni, moi Kochani, bo widzicie — może nawet ów "drań" o którym piszę nie był ostatecznie takim ostatnim plugawcem; może warto by zawołać za pismem świętym: "Panie, odpuść mu, bo nie wie co czyni", ale widzicie sami, jak łatwo można szkody narobić.

Ponieważ udało mi się skaptować naszego zacnego redaktora "Polski Walczącej" na członka honorowego naszego Klublu /nie proponowałem mu członkostwa rzeczywistego, bo gdzieby tam biedak miał czas na napisanie listu prywatnego/, myślę że "Polska Walcząca" nie odmówi Wam i mnie trochę miejsca, abyśmy mogli od czasu do czasu podzielić się wrażeniami na tematy, związane z naszym Klubem: co robić lub czego nie robić? Jak iść w naród brytyjski i głosić mu słowo polskie? Może czasem będę miał dla Was jakąś notatkę. Może czasem jakieś brudy wypierze się na własnym podwórku, boć chyba rozumiecie, że przy obcych, t.zn. na terenie naszego Klubu tego nam czynić nie wolno. Czytajcie zatem uważnie dział "Skrzynka pocztowa". Jeżeli nie będzie tam mnie, znajdziecie często prawdziwą perłę, skreśloną ręką prostego żołnierza. Ja sam jestem człowiek prosty, nie lubię przemądrzałych artykułów i ze szczególną przyjemnością studiuję ten właśnie kącik "Polski Walczącej".

A zatem raz jeszcze, moi Kochani: propagujcie słowo polskie wśród tubylców a Klub nasz wśród swoich. Jednajcie dla Klubu nowych członków. Mało jest w naszym gronie lotników i marynarzy; wciąż za mało kolegów z B.L.A., zaledwie kilku posiadamy z C.M.F.; jeden jedyny jak palec — z *South East Asia Command;* złotowłose polskie królewny nadal trzymają się we wspaniałym "*splendid isolation*". Powiedzcie mi, czy jest w ogóle jakieś lekarstwo na nie? Nie rozumiem dlaczego boicie się tak naszego Klubu? Kłopoty nieduże: dwa lub nawet jeden jedyny list na miesiąc. Ofiary również nieduże: 1 sh. 6d. na rok, za co każdy otrzymuje co trzy miesiące drukowaną broszurę z adresami wszystkich członków.

Dla uniknięcia zbędnej korespondencji podaję dane, jakie są potrzebne dla nowostępujących członków: 1/ czytelny adres, 2/ wiek, wykształcenie /w przybliżeniu/, 3/ stopień opanowania angielskiego lub francuskiego, 4/ ewent. zawód cywilny oraz życzenia, 5/ no i nareszcie 1 sh. 6d. w znaczkach pocztowych lub Postal Order. Adres mój znacie: 3, *Novar Crescent, Kirkcaldy, Fife.*

Ściskam Was, moi Kochani i łączę miłe ukłony

*W. Swicz*

P.S. Bądźcie wyrozumiali, jeżeli na listy do mnie nie otrzymacie nieraz odpowiedzi przez dłuższy czas. Ja jestem lotny ptak i wędruję po Anglii, średnio dwa tygodnie każdego miesiąca, poza tym i tak ledwo zipię w nawale korespondencji.

# Poradnik żołnierski

*Kpr. Sas A.*

Nie ma żadnych podstaw i możliwości, by po otrzymaniu kat. E. w okresie oczekiwania na dokumenty cywilne /po otrzymaniu urlopu do Londynu/ mógł Pan być przyjęty w stan wyżywienia i zakwaterowania do któregoś z oddziałów gospodarczych stacjonowanych w Londynie, a to przede wszystkim z uwagi na niezwykle poważne trudności kwaterunkowe.

*Ochotnik z Brazylii.*

Pisze Pan, że po zwolnieniu z Polskich Sił Zbrojnych, chciałby Pan wrócić do Brazylii. W sprawie tej proszę się zwrócić do Konsulatu Gen. R.P. w Londynie /adres: 63, Portland Place, London — telefon Wel 3511/.

Nadmieniam przy tym, że dla uzyskania zezwolenia na powrót do Brazylii musi Pan posiadać następujące dokumenty: 1/ *Carteira*, 2/ *Licencia do returno*. Dokumenty te, o ile je Pan posiada, należy przesłać przy swoim piśmie do Konsulatu Generalnego w Londynie. O ile natomiast Pan tych dokumentów nie zabrał ze sobą, lub zagubił je, należy o tym nadmienić w prośbie do Konsulatu Generalnego w Londynie, który poczyni starania u władz brazylijskich o ich ponowne wydanie. Uprzedzam jednak, że starania te trwają zwykle długo i napotykają na liczne trudności.

*J.K.*

Rzeczą Pana jest, a nie władz wojskowych szukanie środków i zbieranie dowodów, na których podstawie mógłby Pan być zweryfikowany do stopnia podporucznika rezerwy. Do czasu weryfikacji definitywnej, lub warunkowej przysługuje Panu wyżywienie i zakwaterowanie w naturze w/g norm i zasad obowiązujących w wojsku.

Dopiero po przedłożeniu dowodów i niezbędnych oświadczeń będzie Pan mógł prosić o zaliczkę na uposażenie, niezależnie od przysługujących Panu obecnie świadczeń. Zaliczka ta nie może przekraczać £5 na dekadę /z góry/. Potrącenie jej nastąpi jednorazowo przy wypłacie uposażenia po weryfikacji. Gdyby Pan jednak nie został zweryfikowany, otrzymane zaliczki będą potrącone z żołdu.

*Por. M.*

Słuszne jest, że z dodatku mundurowego potrącono Panu należności wynikające z równowartości przedmiotów umundurowania otrzymanych w naturze. Nie widzę żadnych podstaw do składania zażalenia na oficera gospodarczego.

Oficer ponosi koszt całego swego umundurowania.

*Podchorążu W.T.*

Informacje w sprawie honorowej odznaki za rany i kontuzje ogłosiliśmy w "Polsce Walczącej" nr. 4 z dnia 27.I.45 r. Prawo noszenia odznaki honorowej dla żołnierzy za rany i kontuzje przyznaje dowódca dywizji, względnie równorzędny, lub wyższy dowódca.

# TOWARZYSZ BRONI

## Na Kaszubach



Matka Boska Swarzewska

Najbardziej na północ wysunięta część województwa Pomorskiego, przyległa do Bałtyku — obejmuje Ziemię Kaszubską. Gdy porównacie otaczający Was krajobraz z bezpośredniego sąsiedztwa obozów w Szkocji z pagórkami, górami, lasami i jeziorami Kaszub — dojrzycie wielkie podobieństwa.

Kaszuby zamieszkuje lud polski, który mówi narzeczem różniącym się od mowy reszty Kraju. Lud ten zasiedla powiaty: Morski /powstały z połączenia powiatu Wejherowskiego z Puckim/, Kartuski, Kościerski, częściowo Chojnicki i Starogardzki.

Gdańsk od stuleci był historyczną stolicą Ziemi Kaszubskiej. Wioski, zamieszkałe przez Kaszubów, podchodzą pod bliskie przedmieścia gdańskie. W uroczej Oliwie, do której idzie z Gdańska tramwaj nr. 2 — znajdują się grobowce książąt Pomorskich z kaszubskiej dynastii Gryfitów.

I na północny zachód od przedwojennych granic województwa Pomorskiego mieszkali Kaszubi w Rzeszy Niemieckiej. Ukazywał się tam nawet dziennik pod nazwą "Głos pogranicza i Kaszub". Wierzymy, że w Polsce niepodległej — znajdą się wszyscy bez wyjątku Kaszubi.

Wejherowo, Puck, Kartuzy, Kościerzyna . . . Jezioro goni za jeziorem, odbijając grę obłoków błękitnego nieba nadmorskiego. Lasy rozległe, o przewadze buku, płonące wrzosami w czasie, pełnej tu niezwykłego uroku jesieni. Jesieni, tak bardzo ową malowniczością podobnej do szkockiej.

Kaszubi to lud głęboko polski, głęboko religijny. Prawda, pamiętacie dobrze te procesje, pielgrzymki i odpusty w Wejherowie, zwanym "Kaszubską Częstochową". A od Pucka nad morzem idąc ku Wielkiej Wsi — wioska Swarzewo. Maleńki i cichy kościołek wiejski, a w nim: cudowny obraz Najświętszej Marii Panny Swarzewskiej.

Udajmy się ku południowi. Kartuzy, uroczo nad grupą jezior położone. A w pobliżu Kartuz — Chmielno, okolone wieńcem jezior. Chmielno to pono gniazdo rodowe pomorskiej dynastii książąt kaszubskich, Gryfitów. Słynne też było ono z wyrobów ceramicznych Franciszka Necla. Rodzina Neclów od kilkuset lat pracowała w zawodzie garncarskim, rozwijając wzory ceramiki kaszubskiej, wyróżniającej się oryginalnym zdobnictwem na tle kolorów zielonego i niebieskiego.

W Chmielnie stał pomnik, na którym wyryte było patriotyczne wyznanie wiary kaszubskie, wyrażone słowami ludowego poety, Hieronima Derdowskiego: "Nima Kaszub bez Polonii, i bez Kaszub Polści". I nie tylko w Chmielnie, ale wszędzie na Kaszubach, słyszało się Hymn Kaszubski, śpiewany wzruszonymi głosy starszych i młodzieży. Słuchało się zwrotek między innymi:

*— Tam, gdzie Wisła od Krakowa*
*W polście morze płynie,*
*Polsko wiara, polsko mowa*
*Nigde nie zadzinie.*
*Nigde do zgube*
*Nie przyńdą Kaszube.*
*Marsz, marsz za wrodziem!*
*Me trzymame z Bodziem!*
*— Nos zawołał do swy rote*
*Polści król Jagiełło,*
*Tej w krzyżoćciech karkach gnote*
*Trzeszczało jak mniło.*
*— Gdzie król Kaźmnierz gnoł Krzyżoka*
*Gnoł go pod Chonice!*
*Tam go zgnietle jak robaka*
*Kaszubście kłonice.*

Opodal Kartuz znajduje się Żukowo ze starym kościołem parafialnym, pełnym artystycznych pamiątek. Na szlaku między Kartuzami a Kościerzyną napotkasz jezioro Wdzydze, o zadziwiająco szafirowym dnie.

Pod Starogard i Chojnice, pod Gdańsk, zza Piaśnicy po Radunię — żyje na "gburstwach" lud polski, lud kaszubski, gorąco przywiązany do swej mowy, wiary, obyczajów. Lud ten od dawien dawna odznaczał się wysoką świadomością narodową. Przed przywróceniem niepodległości Polski w roku 1918 — zawsze lud kaszubski wybierał do sejmu pruskiego — posłów Polaków.

Ziemia ta po prostu oddycha polskością. O polskości jej mówią: nagrobki na cmentarzach, ołtarze i ornaty w starych kościołach wiejskich, nazwy strumyków, wzniesień, miejscowości, a nawet leśnych uroczysk.

Polski, katolicki, kaszubski lud wnosi w ogólną skarbnicę naszego charakteru narodowego rzecz bezcenną: przywiązanie do morza. Pisze o tym w "Wietrze od morza" Stefan Żeromski. Ów wiatr, wiejący od morza Bałtyckiego, dmie w głąb Polski przez Ziemię Kaszubską, poprzez "checze" i "gburstwa", przez jeziora, lasy i góry — w serce Ojczyzny.

I chociaż nie ma tutaj za dużo czarnoziemu, i najczęściej żółty, miodem pachnący łubin musi polepszać piaszczystą i żwirowatą glebę — to jednakowoż tu jest morze. Morze Bałtyckie. Polskie. Jest ono niewymiernym bogactwem dla polskiego gospodarstwa narodowego. A na straży tego skarbu czuwa wierny lud polski: Kaszubi.

## Marynarka Wojenna R.P. — rośnie



Bandera powiewająca na jednym z polskich okrętów wojennych

Dowiedzieliśmy się z poprzedniego "Towarzysza Broni", jak powstawała Marynarka Wojenna Rzeczypospolitej Polskiej. Początki te były twarde, trudne, ale — szczęśliwe. Ci z Was, którzy pochodzą przede wszystkim z powiatu Morskiego, oraz z samej Gdyni, widzieli wiele Okrętów Rzeczypospolitej Polskiej. Widzieli, jak liczba tych okrętów powiększała się. Widzieli jak rosła Marynarka Wojenna R.P. — chluba naszego narodu.

Przeniesienie Dowództwa Floty z Pucka na Oksywie — było dobrym znakiem. Patronujący nad zabudowaniami Floty, pamiętający pradawne czasy kościółek oksywski — dobrą roztaczał opiekę nad polską Marynarką Wojenną. Rosła tedy ona i potężniała. I chociaż Niemcy, z właściwym sobie barbarzyństwem kościółek ów zniszczyli — nie zniszczyli i nigdy nie zniszczą, bo zniszczyć nie są w stanie, wspaniałego ducha bojowego naszej Marynarki Wojennej.

W roku 1926 Szkoła Podchorążych Marynarki Wojennej nabywa trzymasztowy szkuner "Iskra". Jest to pięćset-tonowy żaglowiec. Jako okręt szkolny "Iskra" sprawuje się dobrze. Pływa po Oceanie Atlantyckim. Dociera do wschodnich wybrzeży Morza Śródziemnego. Szkoli całe zastępy podchorążych Marynarki Wojennej. Oficerowie, którzy przeszli przez pokład "Iskry" są dzisiaj dowódcami polskich jednostek morskich. Walczą zwycięsko z wrogiem i rozsławiają imię Polski na wszystkich szlakach morskich.

W roku 1926 Polska zamawia pierwsze swoje nowoczesne okręty wojenne. W roku 1930 uzyskujemy nowiuteńkie kontrtorpedowce "Wicher" i "Burza", każdy po 1600 ton, oraz dwa okręty podwodne "Wilk" i "Żbik", po 1000 ton każdy. Przechodzimy na budowę okrętów we własnym zakresie. Dorabiamy się "Jaskółki", "Czajki", "Rybitwy", "Mewy", "Żórawia" i "Czapli". Są to niewielkie poławiacze min. Ze starych okrętów tejże nazwy zostaje jedynie "Mewa", przemianowana na "Pomorzanin". O.R.P. "Pomorzanin" pływa jako okręt hydrograficzny, pracując nie tylko na rzecz Polskiej Marynarki Wojennej, lecz i dla żeglugi międzynarodowej.

Lata 1937-1938 wybitnie wzbogacają nasz stan posiadania na morzu. Przybywają wielkie, nowoczesne kontrtorpedowce "Grom" i "Błyskawica", po 2050 ton każdy. Są one najsilniejsze w swej klasie na Bałtyku. Przybywa stawiacz min "Gryf" 2250 ton. Fundusz Obrony Morskiej, gromadzący zasoby pod przewodnictwem gen. Kazimierza Sosnkowskiego, nabywa okręt podwodny O.R.P. "Orzeł". Zasłynie on w następnych latach największą chwałą bojową. W roku 1939, roku wybuchu wojny, pomnaża nasz morski dobytek okręt podwodny "Sęp", 1175 ton, również najsilniejszy na wodach Bałtyku.

Przed samą wojną przystępujemy do budowy dwu dalszych okrętów podwodnych we Francji, kontrtorpedowców w stoczniach polskich, oraz czterech ścigaczy, z zasobów Funduszu Obrony Morskiej, w stoczniach brytyjskich.

Kraj o niewielkim dostępie do morza, odbudowujący się ciężko po wojnie i półtora wieku trwającej niewoli — daje znać, że rozumie wagę swego dziedzictwa morskiego. Zdaje egzamin, właśnie ze swej świadomości morskiej. To też, gdy nadciągną lata dalsze, pokaże zdumionym narodom świata, że Marynarka Wojenna R.P. godna jest stanąć w szeregu z najwspanialszą Marynarką Wojenną Wielkiej Brytanii.

## Ministerstwo Spraw Zagranicznych

Gdybyśmy nie byli w czynnej służbie i nie nosili mundurów, jako wojsko, to rzecz jasna, że przebywając na obszarze obcego, chociaż sojuszniczego kraju, musielibyśmy korzystać z opieki własnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, sprawującego opiekę nad cywilną ludnością polską poza granicami Polski za pomocą swoich urzędów. Urzędami tymi są, zależnie od zakresu działania, Ambasady, Poselstwa, lub Konsulaty. Ambasady R.P. w chwili obecnej funkcjonują: przy Watykanie, przy rządach Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Francji i Turcji.

Zadaniem Ministerstwa Spraw Zagranicznych jest przedstawicielstwo, oraz obrona praw i interesów Państwa Polskiego przez prowadzenie polityki zagranicznej za pośrednictwem przedstawicieli dyplomatycznych i konsularnych.

W toku tej wojny, tam wszędzie, gdzie znalazł się uchodźca polski, który ze względu na wiek, bądź warunki zdrowia nie nadawał się do wykorzystania go w szeregach Sił Zbrojnych, mógł być pewien, że losem jego zajmie się Ministerstwo Spraw Zagranicznych, za pośrednictwem najbliższego poselstwa czy konsulatu.

Odnosi się to przede wszystkim do krajów neutralnych, w których zgodnie z postanowieniami prawa międzynarodowego nie mogły działać inne, niż dyplomatyczne agendy Państwa prowadzącego wojnę z Niemcami. Placówki dyplomatyczne i konsularne w krajach neutralnych współpracują z Międzynarodowym Czerwonym Krzyżem, ażeby nieść pomoc uchodźcom polskim, czy też jeńcom wojennym.

W krajach, które razem z nami biły się z Rzeszą Niemiecką o wolność — nasze przedstawicielstwo dyplomatyczne reprezentuje polski wkład wojskowy i polityczny do tej wojny. Ambasador, czy poseł R.P. w danym kraju reprezentuje Majestat Rzeczypospolitej Polskiej i broni dostępnymi mu środkami wszelkich praw i interesów Państwa.

Na czele Ministerstwa Spraw Zagranicznych stoi resortowy minister, zasiadający w Radzie Ministrów i wykonujący poprzez podwładne mu organy, zlecenia Rządu. Obecnym Ministrem Spraw Zagranicznych jest p. Adam Tarnowski.

## To Szkocja, a nie Anglia

Niekiedy, ten i ów nazywa Szkocję — Anglią. To jest gruba pomyłka. A jeśli w rozmowie ze Szkotem nazwie go Anglikiem może powstać nieporozumienie. W Polsce, nie bardzo rozumieliśmy te różnice, znając raczej ze słyszenia Zjednoczone Królestwo, którego Szkocja jest najbardziej północną i tradycyjnie odrębną częścią.

Przez stulecia trwały krwawe wojny pomiędzy Szkotami i Anglikami. W roku 1314 Szkoci pobili Anglików pod Bannockburn, opodal miasta Stirling. W roku 1746 pod Culloden, niedaleko Inverness — Anglicy odnieśli decydujące zwycięstwo nad Szkotami.

Różnie układały się wzajemne stosunki pomiędzy dwu narodami dzisiejszego Zjednoczonego Królestwa. Szkoci napadali na Anglików. Anglicy robili wyprawy na Szkotów. Po śmierci Elżbiety, córki króla Henryka VIII Tudora, tron angielski objęła szkocka dynastia Stuartów. Atoli po wielu ciężkich walkach i nieporozumieniach, w roku 1707, w następstwie unii pomiędzy obu krajami, nastąpiło połączenie parlamentów Szkocji i Anglii. Posłowie, wybrani w szkockich okręgach, zasiadają w Parlamencie Westminsterskim, w Londynie.

Dziś różnice między obu krajami wynikają raczej z odmienności usposobień narodowych, ze stosowania odwiecznych, tradycyjnych praw i zwyczajów, z gorącego przywiązania każdego Szkota do kraju swych przodków.

W Szkocji obowiązuje prawo szkockie. Są w obiegu "szkockie" funty, nie zawsze znane Anglikom. Większość ludności Szkocji należy do wyznania prezbiteriańskiego, gdy większość Anglików — to wyznawcy kościoła Episkopalnego, zwanego anglikańskim.

Dla Anglików — wielkim świętem jest Boże Narodzenie. Dla Szkotów — Nowy Rok, *New Year*. Gdy będziecie w tym dniu w Szkocji, zobaczycie jak Szkoci po miastach i miasteczkach witają solennie o północy nowy rok.

Zjednoczenie pomiędzy narodem szkockim i angielskim — posunęło się bardzo daleko. Kapelanem Wielkiej Królowej Wiktorii był Szkot, Norman MacLeod. W czasie poprzedniej Wielkiej Wojny naczelnym dowódcą brytyjskich Sił Zbrojnych był Earl of Haig, pochowany obok Sir Walter Scotta, największego powieściopisarza Szkocji w Dryburgh Abbey, na drodze między Melrose a Kelso.

Niemniej, Szkocja, to nie Anglia. Nie mylcie się więc, nigdy nie nazywajcie w rozmowach Szkota Anglikiem. Obaj oni są pospołu *"British people"*, ale zazdrośnie strzegą swej odrębności.

## Z miejsc postoju

Gen. Thorne, Dowódca *Scottish Command* /Szkockiego Okręgu Wojskowego/ nadesłał w związku z dniem 3 maja następujące pismo do gen. J. Głuchowskiego, Dowódcy Jednostek Wojska:

—Z okazji Święta Narodowego składam Panu Generałowi i oddziałom polskim w Szkocji moje najlepsze życzenia. Jestem dumny, że mam oddziały polskie w Szkocji i jestem pewien, że 4 Dywizja i 16 Brygada Pancerna okażą się godne wspaniałej opinii, zdobytej przez 1 Dywizję Pancerną i Wojsko Polskie we Włoszech.

Szereg oddziałów Towarzystwa Szkocko-Polskiego urządziło w swoich miejscowościach Akademie trzeciomajowe. Dnia 3 bm. akademia taka odbyła się w Glasgow pod przewodnictwem Sir Patrick Dollana, a dnia 6 bm. — w Edinburghu, pod przewodnictwem Lorda Elgina, gromadząc wśród mówców i publiczności przedstawicieli wszystkich warstw społeczeństwa szkockiego. W części koncertowej ze strony wojska w Glasgow wystąpiła Czołówka Muzyczna Dowództwa Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii, a w Edinburghu — orkiestra dęta 4 Dywizji Piechoty.

Dnia 5 maja r.b. w katedrze episkopalnej Edinburgha, St. Mary's Cathedral, przy Palmerston Place, odbyło się uroczyste nabożeństwo resurekcyjne dla żołnierzy polskich wyznania prawosławnego, odprawione przez ks. biskupa Sawę, ordynariusza prawosławnej djecezji Grodzieńskiej i Nowogródzkiej. Przed nabożeństwem, w sześciu miejscach postoju, odbyła się spowiedź święta dla żołnierzy, marynarzy, lotników i ochotniczek PWSK. Na resurekcji w St. Mary's Cathedral obecny był Dowódca Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii.

W związku z zakończeniem działań wojennych przeciwko kapitulującej bezwarunkowo Rzeszy Niemieckiej na budynkach zajmowanych przez wojsko w Szkocji, oraz na masztach obozowych, wciągnięta została flaga polska.

**W oddziałach, które nie otrzymują dostatecznej ilości egzemplarzy "Polski Walczącej", należy odciąć tę kartę i umieścić na ścianie w widocznym miejscu. "Towarzysz Broni" winien docierać do wszystkich.**

### NA FUNDUSZ GEN. BÓR-KOMOROWSKIEGO

Sanitariusze i chorzy Garnizonowej Izby Chorych Ośrodka Zapasowego Nr. 1 Jednostek Dyspozycyjnych M.O.N. złożyli na Fundusz Im. Naczelnego Wodza Gen. Bór-Komorowskiego Tadeusza kwotę £3.12.10 /trzy funty, dwanaście szylingów i 10 d.

Chcąc dać wyraz naszej radości z uwolnienia i ocalenia naszych Rodaków, dzieci, kobiet i mężczyzn z niemieckiego piekła, z obozu Waldenbergu, z obozu Oflag VII.A., z obozu Ravensbrueck i z wielu innych obozów — z własnej i nieprzymuszonej woli składamy kwoty, w sumie £3 sh. 12 d. 10 z przeznaczeniem na Fundusz Im. Naczelnego Wodza Gen. Bór-Komorowskiego, bohaterskiego obrońcy serca Polski — Warszawy.

Fundusz ten, jak nam wiadomo służy na niesienie materialnej pomocy ofiarom powstania warszawskiego, a więc Armii Krajowej, członkom ich rodzin i wszystkim tym, którzy są poza Wojskiem Polskim i pomocy tej potrzebują.

Chcemy również wyrazić naszą radość z rozgromienia Niemieckiej Armii i położenia jej u stóp naszych Zachodnich Sprzymierzeńców. Wróg Narodu Polskiego Nr. 1 poniósł niesławną klęskę.

Dzień 8 maja 1945 r. był dla nas dniem radości z rozgromienia potęgi germańskiej. Dla nas Polaków Dzień Zwyciestwa i Zmartwychwstania Ojczyzny, będzie osobną datą szczęścia Narodu i Ojczyzny. Będzie to Ojczyzna wolna i prawdziwie niepodległa bez wzorów wschodnich i zachodnich — germańskich.

*Rudolf Bogacz*

11-go maja 1945 r.

---

Oddaj swoje polskie książki Polakom uwolnionym z rąk niemieckich. Przesyłki kierować należy na adres: World League of Poles Abroad, 38, Wilton Crescent, London, S.W.1.

# Na Polaków uwolnionych z Niemiec

Szanowna Redakcjo,

W związku z apelem P. Gen. Głuchowskiego w sprawie pomocy dla ludności polskiej wyzwolonej spod tyranii niemieckiej, postanawiam zadeklarować jako doraźną pomoc chociażby tak skromną sumę 10 sh. miesięcznie. Poczynając od miesiąca kwietnia b.r. pierwszą ratę za miesiąc kwiecień i drugą za miesiąc maj załączam przy niniejszym liście.

Jednocześnie strzelec Józef A. zadeklarował od siebie 10 sh. na ten sam cel. Sądzę, że znajdzie się takich więcej, którzy pójdą w jego ślady. Strzelec A. pochodzi z Wileńszczyzny i jest z zawodu ogrodnikiem i z braku pracy w kraju zmuszony był szukać jej we Francji A kiedy ojczyzna znalazła się w potrzebie, wstąpił w szeregi Wojska Polskiego.

Przy tej okazji ośmielamy się złożyć wszystkim Polakom obojga płci wyzwolonym w Niemczech najserdeczniejsze życzenia jak najszybszego powrotu do zdrowia i sił oraz powrotu do wolnej, niepodległej, niczym nie uszczuplonej Polski. A nasz Rząd Rzeczypospolitej w Londynie niech żyje i zaprowadzi nas z tułaczki tam, gdzie serca nasze pragną, to jest do Kraju, do rodziców, żon, dzieci, braci i sióstr i wszystkich bliźnich wyczekujących godziny wybawienia.

*B. "Krynica" P/64*

Załączone £1.15.0 od:

| | |
|---|---|
| Plut. Bolesława Kr. ......... | £1. 0.0 |
| Strzel. Józef A. ............... | .10.0 |
| St. Strzel. Stan. Kr. ......... | . 5.0 |
| | £1.15.0 |

* * *

Przesyłam £1 /jeden funt/ na Polaków uwolnionych z Niemiec.

*Bezimiennie*

* * *

Wręczając Panu Redaktorowi £2 /dwa funty/, proszę o przekazanie tej sumy na pomoc Polakom, uwolnionym z niewoli niemieckiej.

*Władysław Mażuchowski*

* * *

Przesyłam 5 sh. na uwolnionych Polaków w Niemczech, jako nieprzyjętą należność przez polskiego oficera.

*Mrs. Blackaddew*

* * *

W załączeniu jeden funt P.O. na Polaków w Niemczech, jako nieprzyjętą ofiarę przez ks. Dziekana w Falkirk.

*A.Ł.*

* * *

W załączeniu przesyłam £5 /pięć funtów/ na pomoc dla Polaków uwolnionych z obozów w Niemczech.

Łączę wyrazy szczerej życzliwości i poważania

*Maria Przybytkowa*

* * *

Z okazji Imienin ppłk. dypl. Borkowskiego Zygmunta — oficerowie i urzędniczki Archiwum Wojska i Muzeum Sił Zbrojnych złożyli £6.5.0 /słownie: sześć funtów, pięć szylingów/ z przeznaczeniem na Pomoc Polakom Oswobodzonym z Obozów w Niemczech.

Money Order na kwotę £4.15.0 i gotówką £1.10.0 załączam.

*Smardzewski*

* * *

Załączam kwotę £16.6.0 /słownie: szesnaście funtów i sześć szylingów/, która to kwota zebrana została na Pomoc Polakom wyzwolonym z obozów w Niemczech, przez pacjentów tut. Ośrodka.

*Welfare Officer*
*W. Malinowski*

### DLA POLAKÓW UWOLNIONYCH Z NIEMIEC PRZEZ FUNDUSZ SPOŁECZNY WOJSKA

Zarząd Koła Związku Ziem Północno Wschodnich R.P. przesyła w załączeniu "Money Order" na sumę £51.4.1 zebranych na wieczornicy w Szpitalu w dniu 3 maja z prośbą o przekazanie powyższej kwoty przez F.S.W. na pomoc ludności polskiej, uwolnionej z obozów niemieckich.

*Prezes, Sekretarz*

* * *

Kasyno Podoficerskie Oddziału Sztabowego — Spadochronowego Ośrodka Zapasowego przesyła w załaczeniu "Money Order" na kwotę £10, z prośbą o przekazanie powyższej sumy na konto — Komitetu Pomocy Wojska Polakom w Niemczech.

Z poważaniem

*za Zarząd Kasyną*
*st. sierż. T.J. — skarbnik*

* * *

Oficerowie, szeregowi i pracownicy cywilni Biura Opieki nad Żołnierzem M.O.N. złożyli kwotę £21.2.6 na cele związane z pogrzebem i uczczeniem pamięci ś.p. Jadwigi z Zybertów Ignatczenko, pracowniczki Wydziału Prac Kult.-Ośw.

Po pokryciu wydatków na wieniec przeznaczono resztę w kwocie £15.4.6 na Fundusz Społeczny Wojska na "Pomoc dla wyzwolonych z obozów w Niemczech".

Załączam "Money Order" na tę resztującą kwotę z prośbą o przekazanie jej na wymieniony cel.

Biuro Opieki nad Żołn. Mon."

*Szef Wydziału Prac*
*Kulturalno - Oświatowych*

### NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

W załączeniu przesyłam M.O. na £13.2.3 zebrane drogą dobrowolnych składek przez szeregowych 2-giej Komp. Wartow. z przeznaczeniem na jeńców polskich w Niemczech.

### POLISH CHILDREN RESCUE FUND

W załączeniu przesyłam Money Order na £2.17.9 jako dar na pomoc dla dzieci polskich, a mianowicie:

| | |
|---|---|
| 1/ zebrane przez Rev. H. Heath w Edinburgh'u ...... | £2.16.9 |
| 2/ ofiarowane przez Mrs. E. W. Reid z Perth .............. | 1.0 |

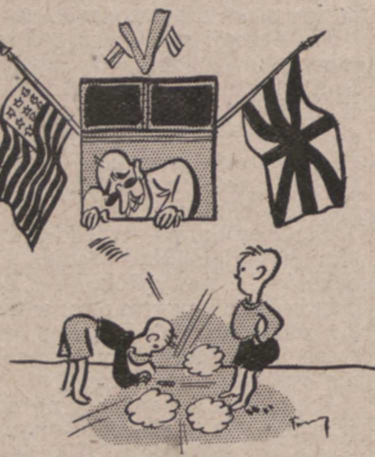
*Szef Wydziału Opieki nad Żołnierzem*



# WERINAJSEK

*. . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .*

*W "VE-Day*



*Szkot: Czy wy smarkacze przestaniecie strzelać!?! Czy wy nie wiecie, że wojna się już skończyła!?...*

### WYJAŚNIŁ . . .

W trzecim dniu po zakończeniu wojny, na Princes Street w Edynburgu stoją dwaj rodacy. Właśnie przelatują samoloty.

—Dlaczego oni jeszcze latają? Po co? Przecież wojna już się skończyła!?

—Pewnie rozbrajają miny na morzu — dorzuca ktoś w mundurze . . .

### POPRAWKI HISTORYCZNE

W związku z zakończeniem wojny, nasze dawne motto: "śmiejmy się, bo kto wie czy wojna potrwa trzy tygodnie" — przestało być aktualne.

Zmieniamy je na:

"Śmiejmy się — bo kto wie, czy pokój potrwa trzy tysiące lat" . . .

### TRAFIŁ . . .

—Okazuje się, że ze wszystkich przepowiedni na temat zakończenia wojny — tylko jedna sprawdziła się . . .

—? ? ?

—Przepowiednia "Werinajska"! Trzy tygodnie temu w nagłówku "Werinajska" wyraźnie było napisane: "Śmiejmy się, bo kto wie, czy wojna potrwa trzy tygodnie" . . .

### DOBRE SERCA . . .

—Pan wie, że Goering nie będzie sądzony jako zbrodniarz wojenny?

—Aleź dlaczego???

—Nie przeżyłby procesu! On jest chory na serce . . .

### LAWINA . . .

Mówią, że w związku z dopuszczeniem Ukrainy i Białorusi na konferencję w San Francisco, Szkocja będzie się też domagała swoich praw . . .

### I BĄDŹ TU MĄDRY

W prasie pojawiły się życiorysy uwolnionych generałów:

Gen. bryg. X — dowodził w *czasie pokoju* dywizją kawalerii, *przed wojną* był w stanie spoczynku . . .

### PO WYJEŹDZIE DELEGATÓW

—Tatusiu, jeżeli wszyscy delegaci opuszczą San Francisco, to czy konferencja nadal będzie się toczyła?

—Oczywiście! Jedno drugiemu nie przeszkadza . . .

### ELEKTROTECHNIK — POLITYK

—Dlaczego nie oświetlacie ulic? — zapytuje polski żołnierz pewnego Szkota. — Przecież *black-out* jest już zniesiony.

—Ponieważ obawiamy się, że może dojść do krótkiego spięcia . . .

*W HYDE PARKU*



*Policjant: I po tamtej wojnie obchodziliśmy dzień zwycięstwa, ale żeby aż rozbierać się z radości — tego jeszcze nie było . . .*

### JESZCZE JEDEN ŻART NA TEMAT "SKĄPSTWA" SZKOCKIEGO . . .

W dniu "VE-Day" Polak zwraca się do Szkotki:

—Nie mogę zrozumieć, dlaczego takie małe chorągwie wiszą w Edynburgu . . .

— Co ??? To jeszcze małe ?!? Jedź do Aberdeen! Tam dopiero zobaczysz! . . .

### JASNY OBRAZ

Po wysłuchaniu komunikatów radiowych na temat ostatnich wydarzeń politycznych — jeden z polityków oświadczył:

—Nic z tego nie wiem — to jest austriackie gadanie; Siedziałem jak na tureckim kazaniu . . .

### PO KONCERCIE MAŁCUŻYŃSKIEGO W EDINBURGU

—Niech mi pani powie, poco ten Małcużyński wziął takie tempo w "Polonezie"?

—A co miał robić? Miał się może spóźnić na pociąg do Londynu?!?... Pani chyba wie, jak ciężko jest z mieszkaniami w Edynburgu . . .

### ODCIĄŁ SIĘ

W stolicy Szkocji przechodzi ulicą oficer. Mija go starszy podoficer, nie salutując.

—Panie starszy sierżancie! Proszę wrócić! — woła oficer. Zatrzymany wraca.

—Dlaczego to starszy sierżant nie oddaje honorów?

—Nie zauważyłem pana kapitana.

—Ja nie jestem kapitanem. Jestem rotmistrzem! Należy się orientować w wojsku!

—*Sorry*, panie rotmistrzu, ale ja też nie jestem właściwie starszym sierżantem, lecz starszym majstrem wojskowym . . .

*PO SCHWYTANIU GOERINGA*



*Goering: Darujcie mi życie, jeszcze mogę się wam na coś przydać — dam wam dziennie 10 litrów krwi do transfuzji przeciwko Japonii . . .*

*W DNIU KAPITULACJI*



*—Czy mam się podpisać na akcie kapitulacji?*

*—Może pan postawić nawet krzyżyk — to już wszystko jedno . . .*

### W KASYNIE

—Pan wyjeżdża na okupację Niemiec?

—Jeszcze nie wiem, Muszę porozumieć się z żoną . . .

Tekst i rysunki: **TONY**

### WYSTAWA NA FUNDUSZ POMOCY POLAKOM W NIEMCZECH

Wystawa obrazów Szkoły Paryskiej /Picasso i współcześni/ zorganizowana przez Lady Jersey na pomoc British Committee for Polish Welfare z przeznaczeniem zebranych funduszów na akcję kulturalną wśród byłych jeńców wojennych i robotników na terenie Niemiec, mieści się w Lefevre Gallery, 131—134, New Bond Street, W.1. Otwarta jest codziennie od 10 do 5.30 /w soboty od 10 — 1/.

### SPIS RZECZY:





**WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.**
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.